



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

REKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Z pogoda, jak z kobietą, nigdy nie można być pewnym łez i uśmiechów, złego i dobrego humoru, słońca i deszczu, ciszy i burzy...

Pod jednym względem tylko tegoroczna aura różni się z pięcią piękną,—pod względem punktualności.

Nie pamiętam, aby która wiosna stawiała się tak na termin, jak obecna; z kalendarzem w ręku przyszła 21-go marca, uśmiechnięta, wesół, rozpogodzona i zasiadła na swoim nagim jeszcze tronie, złotymi promieniami słońca wypisując na niebie i na ziemi: „jestem!“...

Jeżeli zima nie sprawi nam figla i nie dmuchnie w kwiecień lub maju swem mroźnem tchnieniem, to będziemy mogli zaliczyć początek tego roku do najpiękniejszych.

Meteorologia wszelako zapewnia, że już tak pozostanie i że niema się czego obawiać, ale za to lato ma się rozmazać i płakać strugami częstych deszczów, jesień zaś wynagrodzi wszystkie nieudałe majówki, czerwcowki i lipcowki stałą pogodą. *Vederemo.*

Gospodarze spoglądają z otuchą na swoje zasiewy i przyznają się półgębkiem, że jeżeli jakie licho nie pobruździ, to... (na psa urok!)—urodzą się będą wcale, nawet bardzo dobre. Nie należy wszelako chwalić dnia przed zachodem, a plonów przed zebraniem.

W każdym razie jakoś z weselszą miną i z lepszym humorem człowiek bierze się do pracy, gdy go ożywia nadzieja pomyślnych wyników.

Nie mam czego siać ani czego zbierać, ale mimo to cieszę się z tych dobrych przepowiedni, jak gdybym należał do „ogorzałych twarzy“ i orał pługiem—nie piórem.

Gdybyśmy żyli w czasach, kiedy astrologia kwitła, mógłbym przypuszczać, że na tę poprawę humoru w ludziach wpłynęła uroczą Wenus, która świeci obecnie na niebie nad naszymi głowami i z nastaniem zmroku wspaniale daje z siebie widowisko.

Zrobiono na nią plotkę, że wcale nie jest gwiazdą, tylko balonem, oświetlonym elektrycznością; byli tacy, którzy—jak Poloniusz w „Hamlecie“—widzieli w niej wszystko, co im gawieź uliczna pokazywała.

Więc miał to być balon olbrzymi, kierowany sterem, przypływający co rano od zachodu, a odpływający powoli i najspokojniej o północy; nawet strzelano do niego, ale nie tracono.

Słyszałem na własne uszy zapewnienia jednego z jegomościów, zajmujących się bardzo gorąco nowymi wynalazkami, że taki balon służy do zdejmowania w nocy fotografii przy oświetleniu elektrycznem.

Ktoś przez lornetkę teatralną widział najwyraźniej łódkę przyczepioną do tego balonu, a w niej dwóch ludzi, jednego bruneta, drugiego blondyna; omal, że nie dostrzegł, iż obaj—zagrali mu na nosie, odjeżdżając znad ratuszowej wieży.

Co najdziwniejsza, to, że owe bajdy dostały się w poważnej formie do niektórych pism i zostały wydrukowane.

Co wieczór spoglądam w niebo i zdaje mi się, że uroczą Wenus pokłada się od śmiechu, bo od czasów ssącego węża w Skierniewicach czy Grodzisku tak zabawną kaczki nie wyległa reporterya całego świata.

„Kurier Codzienny“ zdemaskował do reszty owych tajemniczych aeronautów, zamieściwszy artykuł i rysunki, z których nareszcie ludźk warszawski przekonał się, że—nie ma, niestety, najmniejszego pojęcia o astronomii, chociaż aż dwóch Koperników posiada obecnie w swoich murach, jednego, rzeźbionego przy Krakowskim Przedmie-

ściu, drugiego, malowanego, na wystawie w sali ratuszowej.

Wenus tedy, najjaśniejsza ze wszystkich planet towarzysząca wschodzącemu i zachodzącemu słońcu, wspominana już przez Biblią, Hezydą i Homera, podziwiana od wieków przez ludy starożytne, obserwowana przez Pytagorasa na pięć wieków przed naszą erą, Wenus ta zbliżająca się co ośm lat ku ziemi i świecąca takim blaskiem, że go słońce nawet za dnia zagasić nie może, jest owym balonem, a raczej ową bańką, którą sobie wydmychała naiwność uliczna.

„W miarę zbliżania się do ziemi, staje się coraz większą,—objaśnia p. Leopold Czapiński w „Codziennym“—jaśniejszą i podobną do tarczy księżycy na nowiu; w lutym przybiera widok tarczy oświetlonej w półowie, w marcu bywa najwięcej oddaloną od słońca. W początkach kwietnia dosięga maximum swej wielkości i blasku, dochodzi do punktu swej orbity pomiędzy ziemią a słońcem, najwięcej wtedy zbliżona do nas, a w dniu 10-tym maja znika z oczu naszych wraz z słońcem zachodzącym. Od tego czasu nie można już jej widzieć rano.“

Zdaje mi się, że uspokoiłem tem wyjaśnieniem zaciekawione czytelniczki, które mogą bezpiecznie teraz udawać się na spoczynek, bez obawy, że jakiś niedyskretny blondyn z brunetem gotów je w takiej chwili przy pomocy elektrycznej lampy i migawkowego aparatu z balonu swego odfotografować.

Mam również nadzieję, że na przyszłej „wieczornicy“ w Stowarzyszeniu subiektów handlowych między zadaniami do nagrody tematami w „sekretniku“ nie ukaże się zapytanie takiej np. treści:

„Czy jest to rzeczą zupełnie pewną i stwierdzoną, że owa świetna gwiazda, od niejakiego czasu intrygująca tak bardzo gród syreni, nie jest właściwie jakąś znakomitością naszą, której się sprzykrzyło świecić tylko na samej ziemi?“

Byłoby to zapytanie bardzo złośliwe, ale nie tak bardzo znowu pozbawione podstawy.

Mania wielkości, żądza rozgłosu rozwija się u nas epidemicznie, a niekiedy dochodzi aż do śmieszności.

W pewnej pierwszorzędnej cukierni opowiadano mi, iż jeden z autorów przyniósł właścicielowi dwie swoje fotografie z żądaniem, aby na pudełkach z czekoladkami umieszczano i jego wizerunki, skoro w ten sposób—reklamuje się innych literatów i artystów.

O sławo, na coś ty zesłał... dawniej na Kapitolu złote wieńce wilaś i w srebrne dełś surmy na cześć swoich wybranych, a dzisiaj po cukierniach się prosisz, aby ci przy pomadkach dozwolono się pomieścić i fotografie rozdawać.

Cóż poczęć! Żyjemy w czasach reklamy i, jak bardzo trafnie zauważył w jednym ze swoich „Dzienników“ kollega F-y, więcej pracujemy dla rozgłosu chwilowego, niż dla długotrwałej sławy; więcej nam chodzi o to, aby się nami zajmowano dzisiaj, aniżeli, aby nas wspominano w potomności.

Niby to nie, a jednak ten odmienny rodzaj ambicji niższych ma swoją bardzo charakterystyczną stronę i jest cechą wielu talentów i twórczości naszej doby; pracuje się dla bieżącej chwili, na dziś, sobotnim sztychem na niedzielny targ, poprzestając na krótkotrwałej reklamie, nie wiele dbając, co prawda, o to, co powiedzą jutro o naszych dzisiejszych tryumfach, sztucznie rozdętych i sztucznie podtrzymywanych.

I w taki sposób powstaje... tandeta sztuki i literatury, fuszerka talentów twórczych.

Nie ambicya wyższa, ale wyższa próżność i wyższa zarozumiałość, pod którą ukrywa się tak często niska interessowność, cechuje coraz więcej dzisiejszą pracę twórczą bez podnioslejszych celów, bez szlachetniejszych dążeń i ideałów.

Gdzie owe czasy, kiedy Baliński wołał: „Sprzedawać miłość—hańba kobiecie!... Sprzedawać pieśni—hańba poecie!...“ dzisiaj śpiewa się tylko za pieniądze, a pieśni tworzy tylko na to, aby je sprzedawać.

Wieńce wawrzynowe zeszyły do znaczenia bobkowych liści, któremi przyprawia się pieczeń, ale oddawna już nie stroi się niemi blade go czoła.

Nie chciałbym, abyśmy, dzisiejsi literaci, poeci, żyli rosą poranną i powietrzem,—takiego przeidealizowania żołądków nie wymagam; zresztą nie zdobywali się na to nawet najbardziej romantyczni romantycy i żyli, podobnie jak my, chlebem i mięsem, ale pragnąłbym, abyśmy wszyscy potrosze nabrali więcej tych wyższych ambicji twórczych, któremi pokolenia naszych poprzedników się odznaczały i nie dla samego honorarium, nie dla samego kawałka chleba, nie dla materialnych głównie zysków pracowały na rozmaitych polach twórczości.

Ta pozioma praktyczność szkodzi, i sztuce, i poezji, i literaturze, i talentom, i publiczności.

Trudno uprawiać sztukę dla sztuki, jeżeli z niej żyć potrzeba, ale sztuka dla samego zysku, dla spekulacji, dla grosza samego, sztuka na obałunek staje się fachem, rzemiosłem; twórczość przechodzi w wytwórczość, wyrobnictwo; talent przestaje być iskrą Bożą, powołaniem, kapłaństwem, ogniem świętym,—a robi się Prometejem, który zeszedł do kuźni, przypasał fartuch i stanął przy kowadle.

Więcej wyższych ambicji, trochę więcej idealizmu w celach twórczych, więcej szacunku dla własnego talentu i powołania, więcej zamiłowania dla sławy, niż dla rozgłosu i chwilowej popularności—a podniesiemy znowu poziom i sztuki, i literatury.

Nie śmiem tego mówić do wszystkich, bo, na szczęście, nie brak świetnych jeszcze wyjątków, ale považam się odezwwać do tej młodszej braci, która wchodzi dopiero na nasze pole do pracy, a myśli już tylko o płacy i zarobku.

Zakrawa to na postne kazanie, co mówię, jednak nie mam celu nikogo dotknąć, ani moralizować, ani poniżać,—„mówię, bom smutny i sam pełen winy!...“

Może ten głos dobrej woli trafi, gdzie należy i zbudzi szlachetniejszy instynkt.

Widziałem niedawno wystawę konkursową w Salonie Zachęty, gdzie z fundacji ś. p. Kuryerowa wyznaczono nagrodę w kwocie 360 rs. za dobry obraz lub rzeźbę i przekonałem się, iż sama materialna zachęta nie wytworzy natchnienia, gdy go w duszy niema i gdy go szczęśliwa chwila nie przyniesie.

Konkurs wypadł marnie,—niema czego ukrywać.

Nagrodę przyznano p. Olesińskiemu za popiersie portretowe, które, mojem zdaniem, było robotą, nie dziełem twórczości artystycznej.

Laureat,—podobno rzeźbiarz zdolny, wyrabiający się dopiero,—nie temu nie winien, że mu mniej kompetentna część sędziów przyznała nagrodę, ale panowie sędziowie zawinili, że nie poszli za głosem większych rzeczoznawców, artystów, którzy w jury uczestniczyli.

Pomiędzy ośmnastoma obrazami nadesłanymi na konkurs były po większej części malowidła bardzo słabe; nawet prace zdolniejszych i znanych malarzy wyglądały jakoś, jakby je machnął pędzel od niechęci, ot, tak sobie—na chybi trafi...

Był jednak wcale dobry obraz p. Radziejewskiego „Sierota“, któremu można było przyznać nagrodę, jako najlepszemu z płócien malowanych; sędziowie jednak całe malarstwo pominęli a zwrócili się ku jedynej rzeźbie, chyba dlatego, że nie miała z kim konkurrować, że była w marmurze i że przedstawiała popiersie jednej z dam naszego ligh-life'u.

Biusty mają szczęście do sędziów konkursowych w Towarzystwie Zachęty; już drugiemu w podobnych warunkach przyznają wieniec.

Co kto lubił...

Na walnem zgromadzeniu członków jedynej instytucji, która zajmuje się sztuką i interessami artystów, poruszono kilka ciekawych szczegółów; oto stwierdzono, iż od czasu utworzenia posady osobnego urzędnika, a raczej urzędniczki, do sprzedawania obrazów, ruch handlowy na wystawie znacznie się zwiększył.

W roku zeszyłym płócien i rzeźb sprzedano za jakie 9.000 rubli, podczas gdy lat poprzednich artyści zaledwie połowę tego dochodu osiągnęli z powyższego źródła.

Przyjęto następnie wniosek jednego z członków, aby na przyszłość przy losowaniu zakupionych dzieł sztuki na każde pięćdziesiąt akcyj jedna obowiązkowo wygrywała. Nowość ta zaprowadzona zostanie tytułem próby w końcu bieżącego roku.

Cieszyć się zatem akcyonariusze!.. Fortuna na swoim kole toczyć się odtąd będzie według regularniejszej marszruty i nie będzie tak bardzo kapryśna jak dotąd, gdy jej nie pozwolą ominąć żadnej pięćdziesiątki.

Cóż z tego, kiedy tych pięćdziesiątek tak nie wiele jeszcze i kiedy mecenasów sztuki za pięć rubli rocznie wołami ściągać trzeba do Towarzystwa!

Pomyślcie tylko, ile za tę marną cenę korzyści możecie nabywać: najpierw tytuł zaszczytny protektora malarstwa i rzeźby, następnie prawo chodzenia choćby trzy razy dziennie na wystawę, wreszcie premia, która ozdobią wasze mieszkania, a nakoniec możność wygrania oryginalnego obrazu, przedstawiającego materialną wartość od kilkudziesięciu do kilkuset rubli.

Jest to jeden z najzyskowniejszych interessów, jakie za pięć rubli na rok można zrobić w Warszawie.

I nad czem się tu zastanawiać?...

Ba, zapomniałem jeszcze o jednej rzeczy, iż w blizkiej przyszłości każdy akcyonariusz Towarzystwa zachęty będzie niejako współwłaścicielem wspaniałego pałacu, na którego budowę zebrano dotychczas około 60.000 rs.

Gdy ta własna siedziba Towarzystwa wyrośnie raz już z kamienia, na którym się ją od lat tyłu, każdy członek będzie mógł z dumą spoglądać na gmach, wystawiony ze składek i mówić:

— Nasz pałac!...

To także coś warto mieć takie hipoteczne zbudzenia w czasach, w których marzeniem człowieka jest—zostać kamienicznikiem, choćby niekoniecznie na przyszłych bulwarach nadwiślańskich.

Z temi bulwarami, jak w ogóle ze wszystkimi projektami p. Devarsa, dzieją się dziwne rzeczy; praktyczność ich wszyscy chwala, uznają, rozbiegają, stwierdzają, a rzecz sama poza projektów ruszyć się nie może.

Obecnie znowu zaczęło się niemi zajmować, i nie wiem już po raz który, obiega pogłoska, iż tym razem cała sprawa wchodzi na drogę pomyślniejszą i zdaje się urzeczywistnioną zostanie, bo kommissya zajmująca się roztrząsaniem projektu przychyliła się ku niemu po usunięciu niektórych trudności i wyjaśnieniu niektórych szczegółów.

Bulwary tedy przestają być nieprawdopodobieństwem i mrzonką, a halle targowe na placu byłych koszar mirowskich zaczynają być prawie pewnością; zarząd miasta z osobną komisją wziął gotowe plany pod obrady i maluczko, a nie będziemy mieli czego zazdrościć Paryżowi.

Będziemy posiadali własne halle i własne—mamy Angot!...

Nie koniec na tem; nasze wierzby zaczynają na prawdę rodzić gruszki, bo oto i Muzeum rzemieślnicze dochodzi do skutku.

Maono przedewszystkiem już kilkadziesiąt (!) tysięcy rubli kapitału zakładowego, a następnie komitet własny, który się ukonstytuował i plan działania nakreślił.

Na początek wyznaczył on delegacyą do załatwienia dwóch punktów najważniejszych: urządzenie sal rysunkowych, w których rzemieślnicy nasi znajdą wzory w każdej gałęzi swego fachu do kopiowania, a dalej uporządkowanie zbiorów muzealnych.

Muzeum będzie nadto posiadało swój organ w „Gazecie rzemieślniczej“, której zreformowana redakcyja przygotowuje rozmaite korzystne dla czytelników zmiany, o jakich niebawem powiadomi ich przygotowywany właśnie prospekt.

Sprawą nowego Muzeum zajmują się ludzie energiczni, poważni i obrotni: jest zatem wszelka nadzieja, że zadanie swoje, pomimo wielu trudności wykonania, spełnią należycie, i nie tylko w polowie.

Notując przyszłe nabytki, muszę i o ubytkach wspomnieć; ubyło nam tedy jedno pismo, i jedna kuchnia. Z dziennika przerodzone w tygodnik „Ziarno“ przestało wychodzić, pomimo wszelkich usiłowań swojego redaktora, aby zakiełkowało na niwie naszej prasy; z trzech tanich kuchni, Nr 3 przy ulicy Czerniakowskiej zamknął swoje gościnne podwoje.

Tania jadłodajnia w tej dzielnicy miasta, przeznaczona głównie dla ludności robotniczej i fabrycznej, po dwóch latach istnienia uległa w konkurencji z szynkami okolicznymi; szynkarze wobec groźnej współzawodniczki, która im w początkach odciągać zaczęła licznych gości, wzięli się na sposób i pobili ją bronią, której ona używać nie mogła, a mianowicie kredytem.

W taniej kuchni dawano dobrze, tanio, dużo i smacznie jeść, ale za gotówkę;—w szynkach zaś brudno, niezdrowo i niesmacznie, ale na kredyt, chociaż z lichwą; klientela przenięła się do szynków, gdzie „borgują“ i gdzie robaka zalać można.

Szynkarze ryzykowali, tania kuchnia, jako instytucya filantropijna ryzykować nie mogła; był wprawdzie środek, aby chlebodawcy i właściciele fabryk na Czerniakowskiej i na Solcu poręczali za swoich robotników i zapewnili im kredyt, jak to uczynili w sklepach „Merkurego“, ale zapóźno się spostrzeżono i tania kuchnia straciła około 2.000 rubli.

Na urządzenie jej przed dwoma laty ciż sami fabrykaneci i przemysłowcy złożyli około 3.000; szkoda pieniędzy!...

Koncerty, rauty i odczyty, jak co roku wypełniły post tegoroczny; oprócz Zeleńskiego, jako kompozytora, a panny Poznańskiej, uczennicy Rubinsteina, jako wirtuozki, ponad zwykły poziom artystyczny wzniosł się nie jeden i melomanom naszym żywszym wrażeń nie dostarczył.

Na rautach obiecywano więcej przedich urządzeniem, niż program dotrzymywał; na odczytach, które urządzało Towarzystwo Osad rolnych, bywały pustki, jakkolwiek głównym tematem tegorocznych prelekcji było zdrowie i medycyna.

Jedynie odczyt prof. Piotra Chmielowskiego „o niewieściach postaciach Alexandra hr. Fredry“ za-

pełnił trochę rolę; widziałem wśród słuchaczy trzech czy czterech literatów, dwie autorki, jednego przedstawiciela małej sceny i jedną przedstawicielkę sceny Rozmaitości.

Czy to nie zamało, jak na odezwy o ojcu komedii naszej, którym z obowiązku zajmować-by się powinni ci, co o nim piszą, i ci, co w jego sztukach zbierają oklaski a nawet wieńce i bukiety?...
Zajmująca i sumienna praca Chmielowskiego, drukowana będzie w „Tygodniku ilustrowanym”, więc nie potrzebuję rozpisywać się o niej obszerniej.

Wielki post dobiegający do końca obfitował szczególnie w poranki dramatyczne, których szeregi zakończył ma jeszcze po świętach w przewodnią niedzielę widowisko na korzyść rodziny, pozostałe po ś.p. Janie Tatarkiewiczu, byłym reżyserze komedii i dramatu i ulubieńcu publiczności warszawskiej w wielu rolach, w których pozostał niezastąpionym nadługo.

Nowa reżysserya przygotowuje obfity program z samych utworów oryginalnych, w których wykonaniu przyjmą udział na scenie Wielkiego Teatru wszyscy kolledzy i koleżanki nieboszczyka.

Na widowisko to złożą się: poemat dramatyczny Bogumiła Aspisa: „Sulamita”, uscenizowany przez p. Józefa Kotarbińskiego, komedia jednoaktowa Michała Wołowskiego: „Parawanik”, Zygmunta Przybylskiego: „Schadzka” i obraz dramatyczny wierszem napisany p. t. „Perła”, nadto w antraktach panna Babińska odśpiewać ma kilka piosenek Tatarkiewicza, a na zakończenie odsłonięty zostanie żywy obraz.

Niema wątpliwości, że publiczność pośpieszy na to widowisko, chociaż z jej kapryśnemi względami trudno zawsze z góry się obliczać; nie było przecież bardziej uwielbianych i miłowanych przez nią artystów, jak Żółkowski i Królikowski, po ich śmierci bylibyśmy w brzoźnie odlali ich posągi, a dzisiaj... niema za co wykuć w kamieniu uwiecznionych projektów, które miały ozdobić foyer Teatru Wielkiego; co gorsza niema podobno nawet z czego wypłacić laureatom przyznanej nagrody, bo składki nie płyną i o uczczeniu największego komika i największego tragika współczesnej polskiej sceny już się nie mówi więcej.

Mam przed sobą nową paczkę książek, które przynajmniej z tytułu wymieniać wypada; przeważnie belletrystyka. Oto Eliza Orzeszkowej nowa powieść „Bene nati” ze ślicznymi rysunkami Stachiewicza, oraz dyalogowany tej autorki utwór: „Westalka”. Firma tutaj wystarcza za wszelkie polecenia, więc obie te rzeczy znajdują szerokie koła czytelników i rozejdą się w pierwszym nakładzie bardzo szybko....

Elegancki i miły felietonista, poeta Czesław Janowski, wydał zbiorek swoich wrażeń z podróży, pod tyt.: „Z notatek turysty”; ma on tę oryginalność, że jeździ po świecie oglądając miejsca i pamiatki mało przez kogo zwiedzane, więc nie banalne i nie opisywane przez tylu innych.

Dwa tomy zapisków ks. Zygmunta Chelmskiego, zebranych „W Brazylii”, mają cechę bardzo ciekawych i zajmujących dokumentów w sprawie wychodźstwa za Ocean; autor pomieścił tu swoje listy, drukowane w „Słowie”, oraz dwie nowelle: „Kara św. Benedikta” i „Ben-ti-vi”, osnute na podaniach brazylijskich. Książka zawiera rycinę i jest równie zajmująca z wyglądu, jak i treścią, pełnej szczegółów nowych, spostrzeżeń i uwag.

Nakładem młodej firmy wydawniczej M. Wołowskiego, wyszła trzecia część sensacyjnego dzieła prof. Lombroso, p. t.: „Człowiek zbrodniarz”, oraz Jacolliot’a: „Świat zagrobowy”; dwie te rzeczy będą miały wielu czytelników, bo przedmiotem oraz opracowaniem ciekawego materiału zwracają szczególniejszą uwagę.

Pan A. Sygietyński puścił w świat powieść p. t.: „Wysadzony z siodła”; gdybym chciał być złośliwym i autorowi odpłacić pięknem za nadobne, miałbym doskonałą sposobność do napisania krytyki, p. t.: „Plotka w powieści”, na wzór p. Sygietyńskiego, który przed kilku laty obdzierał ze mnie skórę za moich „Filistrów”, znanych czytelnikom *Bluszcza*. Poprzestaję jednak na... uśmiechu, z jakim spoglądam dziś na powieść tego samego autora, który, zapomniawszy co jako krytyk

zarzucał, a raczej podsuwał mnie onego czasu, temsamem piórem skarykaturował żywe osobistości.

Na zakończenie pozwalam sobie zanotować tylko tytuły dwóch zbiorów nowel, wydanych nakładem Gebethnera i Wolffa; jeden w drugiej powiększonej edycji, ozdobionej ilustracjami Stachiewicza, nosi tytuł „Zona”, drugi „Z mego albumu.”

Quis.

IDEA W WYCHOWANIU.

Wychowanie daje kierunek uczuciom i myślom istoty młodej, którą kształci do życia, potrzebuje zatem rządzić się tu jakąś ideą przewodnią, która by wyznaczyła kierunkowi temu cel, przedstawiający szczęście i dobro. Rodzice i wychowawcy nie mogą bezkarnie celu tego z uwagi spuszczać, i należy im też od samych początków wychowania wiedzieć, czego pragną dla przyszłości: jakie pojęcie życia i jego zadań, jego obowiązków mają stawiać przed wzrastającą pod ich nadzorem młodocianością. Gdyby zaniedbanem to przez nich zostało, niedoświadczona ta młodzież musiałaby być wystawioną na trudne, na niebezpieczne dla niej kierowanie się o sile własnych natchnień, własnych instynktów uczucia i niewyrobionego jeszcze sądu myśli, stając się podobną do płonki młodej, której nie dano palika, nie przywiązano do podpory, nakazującej rosnąć prosto w kierunku, z kąd przychodzi światło i ciepło. Z czasem przyjdzie mogą, przyjdzie muszą, wichry i zawieje, które drzewem szarpać będą; ale już ono wtedy, zmęczniałe w pniu swoim, opór im stanie potrafi.

Każde wychowanie opiera się na pewnej idei filozoficznej, wtedy nawet, gdy rodzice, gdy wychowawcy nie o tem nie wiedzą, nie o tem nie myślą, gdy idą za prądem pojęć panujących, lub ulegają sile wytworzonej przez okoliczności. Świadomość kierunków systematu wychowawczego dzieci swoich należy też do tych obowiązków rodzicielskich, z których niema rozwiązań, bo grozi tu kara ta smutna, że dzieci wyrobią się do życia nie wedle uczuć i przekonań rodziców, że zatem pójść mogą potem inną drogą życia, niżby oni pragnąć tego mogli. Jak różne są szkoły filozofii, tak różne są i być muszą kierunki wychowania, kierunki nauczania. Myśliciel francuzki R. Thamin napisał świeżo książkę: „Edukacja i pozytywizm” w której rozbiera wpływy nauczania na podstawie szkoły pozytywnej. Szkoła ta — pisze autor — uważa naukę za rzecz w wychowaniu najważniejszą, a nawet za jedyny środek kształcący dobrze człowieka, ponieważ według przekonania tej szkoły nauka tylko stwarza nam umysł, posiadający dostateczne poczucie prawa, poczucie porządku, nieulegającego żadnym wpływom pobocznym — i przez metodę swoją nieugiętej karności ma nad tym umysłem moc wzmacniania woli i zarazem wyzwalań jej z pęt rozmaitych, a to z powodu, że nauka tylko stawia nas oko w oko z nieubłaganą, nieugiętą rzeczywistością. Wyswabadza ona wskutek tego rozum z pęt różnych, bo rozprasza oblegające go złudzenia, naucza tego, co jest prawdą niezaprzeczoną, co jest zatem w dziedzinie prac i pragnień ludzkich możliwością — co jest użytecznością niezawodną.

Spencer dodaje do tych dobrodziejstw nauki to jeszcze, że stwarza ona poezję, stwarza religię, ponieważ otwiera przed wyobraźnią ludzką przestwory bez końca i przez niezmierzoność horyzontów, które odsłania — przez wykazaną harmonią praw tu rządzących, przez tajemnice zbadać się nie dające, przenika prawdziwych kochanków nauki tym dreszczem świętym, który każe im skupiać się duchem i uczuwać wszechmoc potęgi tu działającej — Boga!..

— Tak... odpowiada Thamin — tak jest niewątpliwie. Nauka rozszerza nasz umysł, więc, podnosząc go nad poziom istnienia nizki, pozwala mu uczuć wśród fizycznego świata to, co jest idea-

lem najwyższym mocy niedocieczonej przez zmysły, lecz jasnej przez dzieła swoje dla rozumu, który wobec skutków szuka ich przyczyny pierwszej, i dlatego widzi wśród natury Boga. Takie są, takie być muszą rezultaty nauki wszelkiej dla ludzi z umysłem rozwiniętym dostatecznie — nauki, która działa w zakresie szerokim, która jest badawczą i łączy skutek z przyczyną, a przyczyny tej szuka pilnie — wiedząc, że musi ona gdzieś być, i pyta też uparcie, jak Mickiewicz: kto zawiesił te wagi, odważające wszystko w mierze i proporcji, z której wynika harmonia doskonałości, jaką świat przedstawia? Taki umysł odkrywa pod twierdzeniem nauki jednym zagadnieniem drugie, które się odpowiedzi domaga: pod biologią — chemią, pod chemią — fizyką, pod fizyką — mechaniką i, obejmując wzrokiem cały ten wielki obraz, który, upajając wielkością swoją myśliciela, wprawia go w zachwyt. Ale nie można spodziewać się rezultatów takich od ludzi, którym nauka dała wiedzieć tylko coś z wyników swoich ostatnich. Trochę geometrii, nieco fizyki, nieco chemii nie starczy na to, abyśmy zdołali postawić sobie przed myślą taki obraz doskonale harmonijny sił tu działających, przed którym korzyłyby się rozum i kazał oczom podnieść wzrok ku górze. Zdaniem to jest autora, że wszystkie te wiadomości, jeżeli pozostaną tylko w stanie wiadomości, przyniesie nam mogą tylko korzyści praktyczne, bo nie wstąpią one wtedy w głąb człowieka i działać w nim nie będą tą siłą, która staje się twórczością — która pracuje w istocie naszej wewnętrznej dla pożytku duchowego.

Edukacja człowieka przez naukę to bynajmniej nie zbiór pewnych wiadomości, ale takie wzruszenie umysłu, przez które umysł ten pragnie podnieść się do wyższych sfer wiedzy, ogarnąć całość zadań, przed myślą postawionych i złączonych z życiem jego ducha. Gdy jest inaczej, gdy nauka daje jedynie ułamek jakiś, pożądane tu rezultaty wagi wyższej, niż trochę luźnie zebranych wiadomości nastąpić nie mogą w tym właśnie kierunku: w zakresie nauk pozytywnych. Trzeba tu już nauki wyższej, aby było inaczej. Obudzić się może niekiedy ciekawość umysłu, ale tylko umysłu wyższego, i większość, niemal ogół, przyjmuje jedynie do wiadomości przedstawione sobie fakty wiedzy, z których korzystać będzie w zastosowaniu praktycznym, zatem dyscyplina moralna nie ma tu wcale miejsca.

Nie przynoszą jej nauki ścisłe: nauki te porównują, rozbierają, mierzą, ważą i intelligencja jedynie jest tu potrzebna, lecz intelligencja to jeszcze nie cały człowiek, bo nie jest ona, nie może być, wszystkim dla jego istoty duchowej. Głębiej tego szukać trzeba — głębiej: tam, gdzie jest prawdziwe źródło życia: gdzie kiełkują uczucia, gdzie budzi się myśl, biorąca lot ku górze w stronę dobra, czystego piękna, w stronę sprawiedliwości, gdzie tleje instynkt natury człowieka, pragnący się stać siłą dobroczynną wśród życia ludzkości. Kiedy młodzieniec usłyszy te słowa Chrystusa: „Szczęśliwi, którzy pragną sprawiedliwości...” kiedy się doczyta tego zdania Epikteta: „Mędrzec ocala życie swoje, tracąc je” kiedy spotyka się z tem wierszem Musseta: „Człowiek potrzebuje płakać, aby żył i czuł”, — wzrusza się w głębi jego ta siła, która nasz poeta, Asnyk, nazywa „Dobra i piękna świętem pożądanym” a której nie usunie na bok, nie zostawi na stronie żadne wychowanie, mające przed sobą jakikolwiek ideał szlachetny, jakikolwiek moralnego życia pojęcie.

Czy przecież, pyta autor, myśl młoda otrzyma działanie wpływów podobnych, ucząc się wyłączenie mechaniki, wertując traktaty chemii? Nie... odpowiada. Tylko kształcenie klasyczne wraz z filozofią, z historią, posiada tę moc, która wpływ swój wywiera wręcz na ducha, jakkolwiek dodaje, że niema prawdziwego wyrobienia umysłu bez pomocy nauk ścisłych, bo w świecie myśli wszystko łączy się, wszystko się podpira wzajemnie i gdzie tylko jest jednostronność musi być brak, musi być gdzieś próżnia. Porządek świata przedstawia jedność doskonałą. W głębi praw moralnych, tak jak w głębi praw historii naturalnej, panuje jedna i ta sama harmonia, objawiająca umysłowi to, co Leibniz wyraził treścią: „Wszędzie wśród świata jest geometria, fizyka, metafizy-

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Hazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

ka i moralność. Jeżeli wychowanie zwróci wzrok młodości, kształcącej się do życia tylko w głębi istoty człowieka i nie nauczy jej patrzeć wkoło siebie, odstania jej też tylko połowę wspaniałego widoku, jaki przedstawia świat—nie dozwoli jej dopatrzeć się jedności w ogromnym przestworze tego świata i wykrzywi edukacją moralną, ograniczy ją do formulek oderwanych, bez węzła z rzeczywistością. Wszyscy myśliciele uznają też, że wielką jest rola nauk ścisłych w kształceniu człowieka; potrzeba przecież na to, aby szły one w parze z kształceniem się umysłu klasycznym, które potrzebuje wnieść światło tu swoje, aby nie było zimno, aby nie było ciasno szlachetnej istocie ludzkiej.

Musi tak być przecież, jeżeli obok badań z celem praktycznym, badań natury jako matki żywicieli, nie stanie głębokie uczucie tajemnicy, obejmującej istoty żywe i przedmioty martwe—jeżeli nie będzie tu poczucia nieskończoności, które rozszerzy horyzonty, aż do nieprzejrzenia ich wzrokiem ludzkim, jakkolwiek umysł człowieka będzie się tam rwał, rozbudzając w sobie siłę woli, siłę wzmożonej energii. Nauki przyrodzone bez umiejętności klasycznych nigdy przecież nie dopną tu celu, bo człowiek nie będzie wyciągał rąk do tego, czego pod materyą nie dojrzy, nie odgadnie, i trzeba mu związku, trzeba pomocy wzajemnej wszystkich jego zdolności—trzeba zasiewu myśli, zapłodnienia przez nią czynu, który chce podbić świat materii, zdobyć go i otworzyć jego skarby dla użytku istoty ludzkiej—istoty rozumnej stojącej na granicy między światem niewidzialnym i wiekui-stym a widzialnym, podlegającym przemianom bez końca. Wtedy-to, za przykładem Spencera, czuć można, że jest w tem poezja—że jest w tem religia...

(Dokończenie nastąpi).

PRZYBĄDŹ!

Kiedy na ziemi wśród blasków słońca
Kwiaty schylają głowy przed spieką,
A oko sięga w przestrzeń bez końca,
I czegoś w chmurach szuka daleko;
Gdy myśl w nieznane światy pomyka,
Serce silniejsze czuje wzruszenie—
Ty, wraz z powiewem lekkim wietrzyka,
Przybądź, marzenie!

Gdy srebrny strumień szemrze w dolinie,
Muskając trzeinę wstęgą swej wody,
A omywając stopy kalinie,
Unosi z sobą kraśne jagody;
Kiedy szum lasów słychać w oddali,
Niby nadziemskich duchów westchnienie—
Ty, z pianą lekką na modrej fali,
Przybądź, marzenie!

Gdy perły rosy usrebrzą kwiaty
Umilkną głosy ludzkie na ziemi,
Słońce gdzieś ujdzie w dalekie światy,
Witać je znowu blaskami swemi,
Ustanie walka wokoło wrząca,
A noc łagodna rozpostrze cienie—
Ty na promyku bladym miesiąca,
Przybądź, marzenie!

Tadeusz Teobald Wojcicki.

Czterodniowa wizyta szambelana była na ręce panu Michałowi. Nie spotkał się ani razu z Zosią, nawet zdaleka jej nie dojrzał, przechadzającej się w parku, bo szambelan unikał dalekich wycieczek, lękając się znużenia, któreby kroplistym potem spłynęło po twarzy i piękne malowidło zepsuło. Po wyjeździe Pirskego nie widział jej także; pan Zygmunt nie spieszył z odwiedzinami do sąsiada, ten zaś, mimo pokusy zobaczenia ubóstwianej kobiety, nie wychodził za próg swojego domu. Był smutny, a ten smutek kamieniem młyńskim na barkach mu zawisł, na pierś się stoczył. Dni stawały się niezmiernie długimi. Szukał zapomnienia w pracy, lecz czasu było więcej niż trudów podjętych. Każda sekunda spoczynku stawała się mu wiekiem męczarni; chciał nie myśleć o niczem, lecz myśli niewolane biegly, płynęły jak rzeki wzburzone, zmieniały się w morze gromów pełne i burz huraganowych. Nie! jemu nie wolno sekundy jednej bez zajęcia przepędzić; pracować musiał, pracą się zmęczyć, zabić!

W jednym z najprzystrojeniejszych pokoiów swojego domu sosnowe poustawiał ławki i zajął miejsce za stołem naprzeciw małych słuchaczy, których mu wieś dostarczała. Dzień cały podzielił na godziny, tak, że każda wypełniona była. Po obejrzeniu gospodarstwa wracał do domu. Tu czekali już nań kilkoletni mały i dziewczynki, których uczył abecadła, układał ręce do pisania pierwszych liter, tłumaczył znaczenie każdego wyrazu w pacierzu. Następnie salka napelniała się starszymi dziećmi; tu już na porządku dziennym był katechizm i pierwsze prawa rachunku. Działwa uczyła się chętnie, powtarzała na głos bajki, wiersze, powiastki i sens moralny każdej opowieści musiała. W jednym z rogów pokoju stała duża, czarna tablica, na której kredą rysowano koła, trójkąty i kwadraty—następnie z kwadratów tworzyły się wypukłe bryły, trójkąty zmieniały się w piramidy, koła przybierały kształt kulisty. A jakże-to radość była, gdy z czarnego tła deski wysunęła się figlarna mordeczka kota lub znajomego wszystkim brysia! Prześcigano się w nakreślaniu linii równej, śmiano się z niezgrabiasza. Po skończeniu lekcji brzmiał śpiew chóralny, młodzież wychodziła ordynkiem i pierzchała nagle jak stadko wróbli, unosząc do chat złote ziarna nauki i wdzięczność dla dobrego nauczyciela.

Kilka godzin gospodarskich zajęć, kilka godzin szkolnych wykładów nie wypełniały jeszcze długiego czasu, który leniwym swym chodem postanowił gniebić Korabieca. Wziął się więc do nauki domowej medycyny, by nieść ulgę cierpiącym. Szafa, w której były kredensowe naczynia, zmieniła się w skład apteczny—pan Michał stał się, niepatentowanym lecz pożądanym lekarzem. Wieś była duża, ten i ów chorować musiał. Preparował więc p. Michał mixtury, warzył zioła i leczył. Nie koniec na tem: kilka gałęzi pracy nietkniętych jeszcze było. Razemko który gospodarz zasadził owocowe drzewko przy swej chałupie; razemko który ul z pszczołami postawił. Pan Michał namawiał do zajęcia się pszczolnictwem, ramowy ul zbudował, mówił o praktyczności wynalazku i wynikających ztąd korzyściach.

— A no, spróbujemy kiedyś! — szeptali właścianie.

— Ja wam to zaraz zrobię—odpowiedział Korabiec.

I stawały rzędy drzewek o pięknych koronach. W ogrodzie swoim wybierał do szczepienia dobre płonki, jeden i drugi ul zrobił i codziennie się dowiadywał, jak owad pracuje. Obiegłszy wieś całą

wracał do siebie z kroplistym potem na czole i zmęczony na łożo padał. Głęboki sen pokrzepiał nadwężone siły; spał snem twardym bez marzeń, dopóki Piotr, przychodząc po klucze do gumien i spichrzów nie zbudził trudem powalonego. Zrywał się wtedy z łoża i—modlił się. Tak! pan Michał się modlił. Czuł potrzebę spowiedzi, bo rana serca krwawiła się wciąż, bo praca oddalała kroki jego od miejsc, gdzie przebywała Zosia, lecz nie zmniejszała bólu, nie ścięła z pamięci rysów ukochanej. Modlił się—i w modlitwie miał tarczę przeciw pokusom myśli szalonych. Rozpocząwszy dzień niemą rozmową z Bogiem, ubierał się szybko, spijał piwną polewkę i brał się do pracy codziennej. Aż oto nagle we wsi plamisty tyfus wybuchnął. Śmiertelność była wielka, ludzie walili się jak snopy.

— Ratuj, panie! — wołały głosy zebranych właścian przed domem Korabieca.

Coś przerażającego było w tej cichej zarazie, niewidzialnem skrzydłem nad wsią zawisłej. Ochryply dzwony kościelne, wciąż nowe mogiły bieliły się na wiejskim ementarzu.

— Panie, śmierć! — wołali ludzie—już i we dworze komuś się zmarło.

Michał drgnął.

— We dworze? — szepnął.

Zbiegł szybko ze schodów, minął aleję lipową i zbliżył się do ogrodowej furty. Serce mu biło gwałtownie. Nie spytał kogo tam śmierć wzięła—nie chciał pytać. Na dziedzińcu zatużował ruch niezwykle, kupka dworskich stała na środku, rozmawiając czy radząc.

— Mo-że?... nie, nie, nie!... A... może?

Na to pytanie drugie uczuł jakieś ciepło w swej piersi. Nagle się wstrząsł, jakby wstręt poczuł do myśli podłej. Dopadł furty i wbiegł na dziedzińiec. Koło domu spotkał Grzegorza, którego oczy zaczerwienione były od płaczu.

— Kto u was umarł?... Kto, kto, kto? — zapytał urywanym głosem.

— Piernacka, panie! — zakał Grzegorz. — Położyła się na niepowstanie swoje.

— Gdzie państwo? — oddychając, jakby mu jakiś ciężar spadł z piersi, zapytał Korabiec.

— Oho! państwa od tygodnia już niema! Jak tylko ludzie padać zaczęli, zaraz pan pakować zaczął i do Brzezina się wybrał.

— Wyjechali?...

— A wyjechali!... tymczasem Piernacka...

— To dobrze! to dobrze! — szepnął wpół do siebie Korabiec.

— Jakto, dobrze? — zawołał rozżalony Grzegorz. — Że Piernacka Bogu ducha oddała, to dobrze? A co ona panu takiego zrobiła, że pan się tak ucieszył?

— Ależ, Grzegorzu, nie zrozumieliście mnie. Mówiłem: dobrze, że państwo wyjechali... Piernackiej szkoda, lecz cóż na to nieszczęście poradzić?

Grzegorz westchnął.

— Tydzień będzie, jak ja się jej oświadczył. — Spytał, a jak? ona powiedziała: i owszem! a teraz! Machnął ręką.

— Ot i ślub!

Pokiwał głową i zapatrzył się przed siebie.

Michał, uspokojony, rzucił parę słów pociechy staremu i na wieś poszedł.

Czas był upalny, ziemia, spragniona deszczu, ziewała szczelinami, które jej powierzchnię porwały w bruzdy głębokie. Od kilku tygodni niebo zamknęło upusty wód, jedna kropla rosy nawet nie spadła, na drzewach liście żółkły i zwarzone skwarem obwisły, zboża spalone czerniały, niezbrane ziarna wędły i marły w kłosach. Zdawało się że śmierć wypowiedziała wojnę ziemi i ludziom.

Nigdy pan Michał nie był tak czynny, jak w tych chwilach ogólnego przerażenia. Nietylko dzień go widział na nogach, lecz i noc. Przyrządzał zimne kąpiele, dotykał dłonią rozpalonego, suchego ciała chorych, przykładając ucho do piersi, na lekarstwa pieniądze dawał, napawał przelekkę serca otuchą, pocieszał, radził. Niejedną noc przy osierociłym chorym przepędził, niejedno ciało martwe do trumny włożył i pierwszy rzucił garść ziemi. Kto a kto powinien się być zarazić—to on! Jak straceniec, rzucając się w wir walki, był pewien śmierci. Pewność tę miał i pan Michał.

— Takim samobójstwem chcę skończyć! — szep-
tał — nie innem!

Lecz bohaterów nie łatwo bierze śmierć: Kora-
biecz czuł się silnym, odwagę swoją tętnął w in-
nych — i balwan zarazy się przewalił.

Odetchnęli ludzie, pan Michał tylko uczył więk-
szy ciężar na sercu. Przeliczył mogiły na miejskim
cmentarzu; brakło jednej jeszcze, o której nie wie-
dział kiedy i kto ją usypie. Umierali ci, którzy pra-
gnęli życia; dlaczego on nie umarł, który chciał
śmierci?

— Muszę żyć, muszę cierpieć, muszę pracować!

! powrócił do życia, cierpień i pracy.

Skalskich nie było i prawdopodobnie nie prędko
wróca. Pan Michał dał teraz folę swoim uczu-
ciom i każdodziennie do parku wychodził. Po-
sepnie i cicho w nim było, aleje pokrył liść jesien-
ny i szumiał posepnie chłodnym wiatrem trącany;
rabaty były ogołocone z kwiatów; na szarem tle
nieba rysowały się spletanymi kontury gałęzie
drzew. Płactwo umilkło, jeden tylko wróbel ćwier-
kał i wrony gwarem napełniały powietrze. Kora-
biecz, zamysłony, przesuwiał się jak cień przez aleje
opustoszonego parku, zatrzymywał się czasami i
patrzył jak senny, senne budząc wspomnienia. Tę-
dy przechodziła Zosia, na tle tych komnat odbiła
się jej postać; tutaj trzykrotny mu ukłon posłała
miesiąc temu — tak! miesiąc, gdy on stał, jak w tę-
czę w nią wpatrzony. Przechodził aleje, zatrzy-
mywał się w bluszczonej altanie, wpatrywał się
w okna jej pokoju, gdzie, pielęgnowane ręką Grze-
gorza, w ładnych doniczkach rosły ulubione jej
kwiaty. Błądził tak godzinami całymi, pojąc ma-
rzeniami serce samotne. Lecz rad był tej samotno-
ści, cieszył się z obrazów wywołanych siłą pamięci.
Parę godzin codziennie poświęcał tej ulubionej
przechadzce i wracał do zajęć swoich.

Znowu zawrzało w pokoju przerobionym na klas-
sę. Od modlitwy zaczynały się nauki i na modlit-
wie się kończyły. Pan professor był ulubieńcem
wszyscy całej, siał złote ziarna, wiedząc, że złoty plon
wydadzą.

W pałacu pana szambelana wrzało jak w ulu.
Lokaje ze srebrnymi tacami przebiegali pokoje,
pukały butelki szampana, gwarowi towarzyszył
śmiech i przepysny humor gospodarza. We wszyst-
kich pokojach jarząco paliły się światła, dźwięk
muzyki łagodnie kołysał powietrzem.

Od dwóch tygodni mieniali się ludzie i stroje.
Każdodziennie pod kamienne filary pałacu wjeź-
dzał gość nowy, każdodziennie przybywało barw
więcej, aż się wszystko dopełniło, wypełniło i za-
mieniło w piękny kalejdoskop barw i kształtów,
których tłem była sala balowa wspaniałego pałacu
w Brzezynie. Miejsce gospodni zajęła daleka kre-
wna szambelana, pani Ernestyna Tirard, Wolska
z domu. Była to dama wielkiego świata i wielkiej
tuszy. Mąż jej, straciwszy swój i żony majątek,
umarł niedawno w Kairze a pani Ernestyna pozo-
stała na łasce ślepego losu. Przeraziło ją ubóstwo,
napełniło serce żołącią zobojętnienie tak niedawno
życzliwych. Pałac przy Faubourg de St. Germain
przeszedł do rąk rodziny męża, klejnoty wierzy-
ciele zabrali, i pani Ernestyna zmuszona była opu-
ścić arystokratyczną dzielnicę i przenieść się do
dwóch skromnych pokojów w Quartier Latin. Szam-
belana wówczas nie było w Paryżu; oddychał pięk-
nem powietrzem Prowancji. Dowiedziawszy się
o fatalnych przenosinach kuzyny, pośpieszył do
stolicy, z wyciągniętą ręką pomocy. Madame Ti-
rard wróciła do swego świata, z wdzięcznością
przepełnionem sercem dla szambelana, który o za-
dnej łasce wyświadczonej wiedzieć nie chciał, nie
dając nigdy uczuć, że ją obdarzył. Pani Ernesty-
na Pirskiego zaliczyła do bogów i nie było ofiary,
jakiejby się nie podjęła dla szlachetnego kuzyna.
Dopóki szambelan był w Paryżu, była przy nim;
gdy przeniósł się do Brzeziny, bez żalu porzuciła
stolicę świata, i do mało znanego kraju przybyła.

W Brzezynie było gwarno, pani Ernestyna *robila*
honory domu. Miała lat czterdzieści, oczy jasno-
błękitne i włosy barwy popiołu. Była ubrana w zie-
loną, jedwabną suknię, owiniętą koronkami *couleur*
de crème; stanik gładki, wycięty, obnażał ramie
pulehne i szyję pięknie zaokrągloną, na której, na

złotym weneckim łańcuszku, wisiał medalion z trój-
promienną, osypaną szmaragdami, gwiazdą, z dużym
brylantem po środku. Dla wszystkich uprzejma —
dla Zosi wylana, przywitała ją odrazu niby znajo-
ma i starała się jej przyjaźni zaskarbić.

Pośród liczego zebrania celowała pięknoscia
pani Natalia. Mieć mogła lat trzydzieści, lecz, mi-
mo cery nieco zwiedłej, ust zawąskich i jakby spa-
lonych, była prawdziwie piękna. Niezrównana
ozdobą jej postaci były włosy kasztanowate i oczy
czarne z odblaskami rubinów. Nos miała równy,
skradziony u posagów kutej ręką Fidyasa, czoło
nizkie, prześliczny zarost skroni i piersi powabną,
przezierającą wstydliwie przez muśliny i kwiaty,
którym pod straż swe wdzięki oddała. Na włosach
miała rubiny, w uszach rubiny, na czarnej z aksa-
mitu sukni rubiny. Długie, gęste rzęsy, zdawały się
naumyślnie dla jej oczu stworzonymi, a te oczy pa-
trzyły jakąś głębią bezdenną, kameleonowemi świe-
ciły barwami, zapalały się, to gasły nagle; przelaty-
wały przez nie ognie błyskawiczne, to pokrywały
je cienie posepne — były palące jak żar, to ciche,
tajemnicze jak otchłań morza. Szambelan poró-
wnywał je do przepaści, w którą bez zawrotu gło-
wy spojrzeć nie wolno, — Zygmunt milczał, lecz do
przepaści się zbliżał.

W jadalnej sali, przy wielkim stole, ustawionym
w podkowie, siedzieli goście szambelana. Mężczyź-
ni byli we frakach, panie w balowych strojach.
Pito zdrowie perły pereł, pani Natalii; później
szambelan wznosił toast królowej róż i czoło przed
Zosią pochylił.

Zygmunt uśmiechnął się, zadowolony pogłodził
wąż piękny i z niedopitym kielichem zwrócił się do
pani Natalii.

— Ależ to nie moje zdrowie — rzekła towarzys-
ka Skalskiego.

— Perłą i różą, pani jesteś! — szepnął Zygmunt.

Czarne oczy Natalii przeszyły mówiącego. Nie
zmieszał się.

— Taką jak ty w tej chwili — mówił dalej — mu-
siała być Kleopatra, gdy na lekkiej łodzi nilowej
śpieszyła na podbój serca Cezara.

— Antoniusza czy Oktawiusza? — spytała Na-
talia.

— Prawdą dwóch było — rzucił Skalski.

— Pierwszych tysiącami, drugich nie znam...
A, — dodała po chwili, — pan może chcesz być Okta-
wiuszem?

— Wolalbym rolę pierwszego.

— Oo! — rzekła przeciągle, odwracając twarz od
pana Zygmunta.

— Pani się odwraca — rzekł szybko — a zatem
przyjmuję rolę drugiego.

Duże, czarne, palące oczy Natalii zagłębiły się
w zrenicach Zygmunta, który odpowiedział śmia-
łem, wyzywającym spojrzeniem.

Szambelan przynurzonemu oczyma patrzył na sio-
strzeńca, a uśmiech tajonej radości na ustach mu
zawisł. Ernestynianie straciła uśmiechu kuzyna, lekki
ruch brwi jej mówił, że porozumieli się. Szambelan
z kielichem podeszedł do Natalii i, nachylając się
nieznacznie, szepnął:

— *Peine perdue*, stracony trud — nie da się!

— *Unique!* — odpowiedziała Natalia, wzruszając
ramionami.

Obiad się skończył, muzyka zagrała poloneza.
Przy stole ruch się zrobił, Szambelan podał rękę
Zofii i prowadził taniec przez wszystkie pokoje
pałacu.

— Bawi się pani dobrze? — zapytał wdzięcznym
ruchem idącej koło niego tancerki.

— Ach, wyśmienicie! Dawno nie doznawałam
tyle rozkoszy, upojenia!

Szambelan uniósł głowę do góry, przynurzył po-
wieki, nozdrza zawachlowały mu lekko a błogi u-
śmiech twarz opromienił.

— Rozkosz! upojenie! — wyszeptał. — Oh! *conju-
guez ce mot...* Jak ono ślicznie brzmieć będzie
w ustach pani!... Upajam, upajasz...

Zosia zaśmiała się srebrzyście.

— Śmieję się, niedobra kuzynko — a jednak?...
Walea! — zawołał nagle, dając znak ręką.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DO REDAKCYI.

W numerze 9-ym „Bluszczu“ pomieściła Redak-
cja zajmujący artykuł p. t. *Matka Goethego*, pod-
znaczony kryptonimem *Alfr. S.* Autor sprawoz-
dania tego przytacza szczegół, że kółko najbliż-
szych znajomych zaczęło tę matronę nazywać: „panią
Aja“ i zarazem dodaje w przypisku: „Zkąd właści-
wie pochodzi nazwa *Aja*? — dotąd niewiadomo.“

Otóż, zdaniem mojem, odpowiedź na to pytanie
bardzo jest łatwa. *Aja* w języku włoskim znaczy:
ochmistrzyni, przewodniczka i wyraz ten u Niemców
utarıł się nawet w języku potocznym. Wiadomo
również, że pani Goethowa była serdeczną „matuch-
ną“ i wzorową gospożą. Skoro więc Wieland
dom jej nazwał po-włosku: *casa santa*, to dla czegoż-
by jej samej nie mógł nazwać zwłoska po-niemiec-
ku: *aja*?

Może się mylę, może wyraz ten ma jeszcze inne,
symboliczne znaczenie; w każdym jednak razie wy-
tłomaczenie powyższe wydaje mi się zupełnie na-
turalnem.

Ludwik Jenike.

Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu rozpoczyna się wkrótce kursa
handlowe dla kobiet; aby osoby, zajęte pracą we
dnie korzystać z niej mogły, urządzone będą
i wykłady wieczorne. Słuchaczki potrzebują po-
siadać przygotowanie z zakresu nauki gymnazyów
żeńskich. Kurs będzie dwuletni, przedmioty wy-
kładane są: buchalterya, korespondencya handlo-
wa, rachunkowość handlowa, prawo handlo-
we, przemysłowe i wekslowe, towaroznawstwo,
geografia handlowa, ekonomia polityczna, język
francuzki, oraz niemiecki i angielski, kaligrafia.

— Gazety petersburskie donoszą, iż wolno jest
kobietom wstępować na naukę farmacyi, ale tylko
jako przychodnie.

— Szkoła kucharska z oddziałem dla kobiet ma
powstać w Petersburgu.

— Według spisów miejskich jest w Warszawie
kobiet utrzymujących się z igły 13.175 osób,
a mianowicie: 298 właścicielek magazynów stro-
jów i 2.804 robotnie w tej gałęzi; 1.026 właścicie-
lek szwalni i 1.750 szwaczek; 3.500 pracujących
igłą w zakładach kapelusznich, szewskich
i krawców męskich. Uczennic jest ogółem 4.337.

— Nagrody za długoletnią służbę z zapisu ś. p.
Józefa Zacharkiewicza, b. członka senatu, otrzy-
mały w dniu 5-go Józefa: Emma Choińska za 32
lat i miesięcy 9 służby w domu p. Łukasza Pia-
skowskiego 150 rs.; Franciszka Szymańska za lat
19 i miesięcy siedm służby w domu p. Szymona
Krzyżkowskiego 75 rs.; Eufrozyna Peknol za lat
14 i miesięcy 11 służby u p. Natalii Cwiklińskiej
rs. 25.

— Zapisy Julianny Kossowskiej na rzecz war-
szawskich instytucji dobroczynnych zostały urzę-
dowo zatwierdzone.

— P. P. Henrykowa Natansonowa i Flora
Kleinadel zostały opiekunkami ochron: XXIV
i XX, zaproszone przez Warszawskie Towarzystwo
Dobroczynności.

— Zarząd kolei Nadwisańskiej pozwolił córce
kassjera biletowego stacyi Mława zastępować
ojca, który wyjechał za urlopem kilkotygodnio-
wym, a to z powodu, aby pensya, która wtedy
przeszłaby na innego zastępcę, nie została straconą
dla rodziny. Jest to zatem tylko fakt przypadko-
wy, jakkolwiek w Płudach, przystanku kolei nad-
wisańskiej między Pragą a Jabłonną, kobieta,
żona miejscowego dozorcę kolejowego, sprzedaje
bilety na pociągi osobowe. Żony i córki drożni-
ków obsługują bardzo licznie przejazdy, wywie-
szając chorągiewki sygnałowe. Oprócz tego za-
jęcia kobiety nie są przypuszczane do za-
dnej stałej pracy przy obsłudze naszych dróg
żelaznych.

— Nowa gałąź pracy została przyswojona kobiecie naszej przez p. Janiszewską, która w zakładzie farbiarni parowej, oraz pralni chemicznej K. Githnera (Nicała N-r 5) decyduje, jako towaroznawczyni, znająca się na gatunkach wełny, bawełny, jedwabiu, jakiemu działaniu, prania lub farbowania, może być poddany przedmiot przyniesiony. Pani ta pobiera rocznej pensji rs. 600.

— W salonie spółki artystów, w oddziale sztuki stosowanej do przemysłu, zwracają uwagę bardzo ładne inkrustacje drzewem w drzewie, wystawione przez p. Zofię Jeżewską, obywatelkę ziemską, a pochodzące z jej pracowni, gdzie kunsztu tego uczy młódź wiejską, której są to wyroby. Nie małego znaczenia jest zasługa tej pani, bo zaszczepia ona między ludem wiejskim nową u nas gałąź pracy artystycznego przemysłu domowego. Niejeden grosz za tego rodzaju wyroby zostanie się nam, jeżeli wyroby owe zajmą w sklepach naszych miejsce towaru zagranicznego. Obok tego przemysł domowy tego rodzaju uszlachetnia zawsze robotnika, rozwijając w nim pewien zmysł artystyczny, pewne poczucie piękna.

— *Gazeta Lekarska* podniosła kwestyą pielęgnowania chorych. Brakuje nam tutaj sił odpowiednich, bo siostry miłosierdzia przeciążone są pracą, zwłaszcza, że poświęconą tę pracę oddawać muszą przedewszystkiem cierpiącemu ubóstwu, obsługując szpitale. *Kronika Rodzinna* podała projekt stowarzyszenia pań dobroczynnych, któreby, na wzór tego, co jest we Francji, zajmowały się pielęgnowaniem chorych nieuleczalnych, cierpiących w domu; wszystko to przecież nie jest jeszcze dostatecznym, potrzeba bowiem kobiet umiejących pielęgnować chorych za odpowiednim wynagrodzeniem. Jest wiele osób zamożnych, przybywających do miasta na kuracyę, wiele osób stale miasto zamieszkujących, które również mogłyby i chciały płacić za trud dozoru ich w czasie choroby, i byłoby rzeczą pożyteczną, aby poświęcić się chciały temu zajęciu osoby świeckie, odpowiednio uzdolnione, czyniąc sobie z tego sposób utrzymania.

— Towarzystwo Jedwabnicze liczy członków kobiet dziewiętnaście, a to: pp. Bielską Wandę, Chrzanowską Helenę, Dawidową Jadwigę, Ilnicką Maryą, Karczewską Maryą, Mroczek Eugeniją, Majewską Gabryelę, hr. Ledóchowską Ludwikę, Lewińską Zofią, Orzechowską Stanisławę, hr. Ostrowską Maryą, Rodysową Bolesławę, Rogozińską A., Rumocką Natalią, Smolikowską Izabellę, Sypniewską Annę, Wendową Sewerynę, Zakrzewską Filomenę, Zyszkiewiczową Ludwikę. Oddających się hodowli jedwabnictwa jest pań dwadzieścia ośm, a to: Banzemerowa Wanda, Bielkiewicz Bronisława, Bolechowska, Byczyńska, Chwat Zofia, Chrzanowska, Czernicka, Dębska, Fijałkowska, Groswald Emilia, Grzebska Teodozja, Horodyska, Kazięna Zofia, Kozietulska, Karczewska, Kubiczek, Kreczyńska Leokadya, Lipska Zuzanna, Madan Zofia, Orzechowska, Ostrzeniecka, Przygodzka, Romocka Natalia, Róściszewska, Rutkowska Franciszka, Sypniewska Anna, Wierzbicka, Zabłocka. Od Zarządu Towarzystwa otrzymały w roku sprawozdawczym świadectwa dostatecznego obznajomienia się z jedwabnictwem pp. Majewska Gabryela, Szezepańska Marya i Szmidt Bolesława z Warszawy, Bobrownia Marya, Plewińska Zofia i Tyminska Zofia z Lublina, Roguska Helena ze Swarszowic i Waśniewska Janina ze Smolechowa.

— We Lwowie zawiązało się stowarzyszenie Nauczycielek pod nazwą „Związek koleżeński uczennic Lwowskiego seminarium nauczycielek.“ Pierwotnie grupowały się tu jedynie uczennice wymienionego seminarium, obecnie wszystkie nauczycielki pojmujące pożytki takich związków przystępują do niego. Związek udziela przez członków swoich stałych zapomóg pieniężnych nauczycielkom początkującym, oraz książek przy zdawaniu egzaminów, co jest pomocą bardzo ważną; wyszukuje dalej nauczycielkom miejsce, tak w szkołach rządowych, jak i w domach prywatnych. Oprócz tego Związek pragnie wnieść instytucyę wielce potrzebną: *Schronienie Nauczycielek*, mieszczące początkowo osób dziesięć: stale pięć nauczycielek emerytek, najbardziej tego potrzebujących, chwilowo pięć przyjezdnych, miejsca poszukujących a nie posiadających

dostatecznego funduszu na utrzymanie się przez ten czas w mieście.

— Instytucyja pomocy naukowej dla dziewcząt w Poznaniu udziela wsparć pragnącym się uzdolnić do pracy w kierunkach praktycznych, przez naukę krawiecczynę, buchaltery, gospodarstwa domowego. Stypendya udziela się w kwocie od 70 do 100 marek rocznie, lecz zaledwie trzeciej części żądań można zadosyć uczynić. Nie mniej mają tu nadzieję, iż z czasem wywiąże się z tego taka instytucyja pomocy naukowej dla dziewcząt, jaką jest dla niezamożnej młodzieży męskiej, dla uczniów szkół i studentów Towarzystwo imienia Dra Marcinkowskiego.

— W Berlinie, w Liceum Wiktorvi odbywają się odczyty, wygłaszane przez prawnika, sędziego Ring, w przedmiotach przepisów prawnych, które kobieta znać powinna, aby się ustrzegła pomyłek, jakich obecnie przez niewiedzę często się dopuszcza, narażając się, oraz rodzinę swoją na straty. W Lipsku, kobieta doktor prawa, Emilia Kempin miewa podobne odczyty. Stowarzyszenie kobiece: „Allg. Deutscher Frauenverein“ postanowiło ogłosić drukiem i wydać w taniach broszurkach zbiór przepisów prawnych, odnoszących się do kobiety. Jest to rzecz wielce potrzebna w każdym kraju i można zaliczyć ją do czynów dobroczynności publicznej, bo ileż to kobiet bywa oszukiwanych przez ludzi złej woli, ile kobiet dochodzi do ubóstwa przez brak znajomości przepisów prawnych, którym podlega.

— Magdalena Bruck, wdowa po wyższym urzędniku w sądownictwie austriackim, mieszkająca w podmiejskiej okolicy Wiednia, odpowiedziała na broszurę d-ra Ernesti, zwracając jego uwagę na jedną jeszcze stronę kwestyi, której nie podniósł. Istnieje ona, ta kwestya, i dla kobiet z klas wyższych. Dzisiejsze wychowanie dziewcząt kładzie za wielki nacisk na ich kształcenie naukowe; wiele-klassowe gimnazya zatrzymują tak długo uczennice swoje, że najczęstszą kończą je one już dorosłymi pannami, które nietylko przy wielkiej liczbie przedmiotów, wchodzących obecnie w program nauki dziewcząt, nie miały przez całe trwanie nauki szkolnej dość czasu, aby zajmować się choć cośkolwiek gospodarstwem domowym, ale były zupełnie oderwane od wewnętrznego życia rodziny. Ztąd nie mogą one, nietylko nabyć tych wiadomości praktycznych, które przecież będą potem potrzebne żonie i gospodyni domu, ale zatracą w sobie rozmaite złączone z tem przymioty, a co najważniejsze, zamiłowanie do mu, który dla mało zajętej pełniąc się tu pracą, stać się musi miejscem pobytu nudnym i ciasnym.

— Autorka szwedzka Flygara Carlen, zmarła niedawno, przekazała cały swój majątek na cele dobroczynne na zasadzie, że jej rodzina nie była ubogą, co zatem rozwiązywało ją z obowiązku zostawienia krewnym posiadanego mienia. Uniwersytet w Upsali otrzymał 10,000 koron na stypendya dla niezamożnych studentów; procent od 10,000 koron rozdany będzie corocznie między ubogi lud rybacki jej rodzinnych okolic; 20,000 koron przeznaczyla na stypendya szkolne do rozporządzenia liceum w mieście Skara. Ostatecznie zapisała miastu Strömstad bardzo bogatą bransoletę brylantową, która ma być sprzedaną na korzyść miasta w razie, gdyby wskutek znacznego pożaru potrzebną tu była zapomoga.

— Angielska pani, Mrs Waller, postanowiła za zgodą męża dać z mienia swego 500 funtów sterlingów na rzecz nieszczęśliwej ludności angielskiej, którą przez reklamy i emissaryuszów ściągnięto do Brazylii, a która mimo nędzy, jaką tam cierpi, nie ma funduszu na powrót do ojczyzny. Mąż dołożył tu tyle, ile wymagać może podróz na miejsce, aby mógł dozorować tu osobiście wyprawiania biedaków do miejsca urodzenia. Zpomiedzy 150 emigrantów, którzy w początkach marca zeszłego roku wyjechali do Brazylii, nie żyje już 74.

— Indyjanka z okolic Bombay, Soonderbai Powar, poświęciła się sprawie waleczenia przeciwko handlowi opium i w tym celu odbyła podróz do Anglii, jakkolwiek zmiana klimatu dla kobiety już nie pierwszej młodości mogła szkodliwie oddziaływać na jej zdrowie. Należy ona do wyższej kasty pokolenia Hindów, obecnie już chrześcijanka, pragnie wydzwignąć swój naród z nędzy nieszczęść, jakie

sprowadza na niego nieszczęśliwy nałóg, gorszy w skutkach, niż upijanie się wódką. Wytworzyła ona stowarzyszenie kobiece, otwarte tak dla kobiet mahometanek, jak i chrześcianek, z celem waleczenia przeciw używaniu opium. W Anglii pragnie przez oddziaływanie na opinię publiczną wywołać ruch umysłów, wspomagający jej usiłowania; chce koniecznie, aby kwestya została podniesioną w parlamencie angielskim. Drugą jej misyą jest wydzwignięcie z nędznego stanu wdów indyjskich, które po śmierci męża stają się niewolnicami jego rodziny, zwłaszcza poddane są, niemal jak służebnice, matce męża. Znana czytelnikom naszym szlachetna i rozumna Indyjanka: Pandita Ramabai, która też pracuje od lat wielu w sprawie nieszczęśliwych wdów indyjskich, łączy obecnie usiłowania swoje z zamiarem Sonderbary Powar.

— Włoska poetka, signorita Anita Vivanti, mająca obecnie lat dwadzieścia dwa, wydała zbiór poezyi swoich, do których pierwszy poeta nowożytny Włoch, Carducci, napisał przedmowę, przeznaczając całkowity dochód na rzecz ludu wiejskiego i małomiasteczkowego tych okolic Włoch, które zubożyła klęska nieurodzaju.

JEREMI

NOVELLA.

(Dokończenie).

Ktoregoś wieczora gospodarz wyprawił go na całą noc z końmi na paszę. Ciemno było, gwiazdy tylko skrzyły się jak gęsto powbijane srebrne gwoździe, na ciemnym, jednolitym, aksamitnym sklepieniu. Jeremi wjechał na pastwisko, konie puścił swobodnie i leżał w rowie, na łokciach opierając głowę a wzrokiem błaząc po niebie; gwiazdy wszystkie mrugały doń bez ustanku, tak ładnie, tak miło, że zapominał o zimie przebytej, o kulakach gospodarza, o wszystkich swych biedach i, patrząc w niebo, myślał co tam za gwiazdami się kryje: tam chyba zawsze ciepło, zawsze jasno, tam niema zimy, jeno wieczna, nieskończona wiosna — i stary linik z lirą swą tam siedzi. O! bo mu ją włożył do trumny, on z nią całe życie chodził, to nierozdzielna jego towarzysza: jakżeby bez niej na sądzie ostatecznym przed Obliczem Pańskim się zjawił?

A jaśni, bieli aniołowie otaczają Najświętszą Panią i śpiewają Jej takie pieśni, jakich ucho ludzkie nigdy nie słyszało.

Ach! gdybyż mu się tam kiedy dostać, biednemu, opuszczonego sieroci! Oczy mu się przymknęły, cisza i spokój uspiły go — i zdawało mu się, że białe ręce jasnego anioła wyciągają się do niego i unoszą go gdzieś daleko, wysoko nad tę ziemię, gdzie go nikt nie przygarnął, nie utulił, nie ukochał.

Przejęło go jakieś słodkie, błogie uczucie. Unosił się powoli, spokojnie, ponad dachy lepiątek, ponad drzew wierzchołki. Coraz większa jasność i ciepło ich otaczały, aż blask stał się tak silnym, że go w oczy raził: otworzył je i chudemi kulakami zaczął silnie przecierać, nie mógł na razie zorientować się gdzie się znajduje. Słońce wysoko już było na niebie i w samą twarz mu zaglądało; nie wiedział gdzie mu noc uciekła, — czyżby ją mógł całą przespać? Obejrzał się za końmi, nie było ich widać, przeszedł całe pastwisko i nigdzie ich nie napotkał; strach go ogarnął: co się z niemi stać mogło? Może do domu wróciły? — przyszło mu nagle na myśl; galopem puścił się do wsi i zadyuszany dobiegł do Bartkowej zagrody. Gwar tu niezwykły panował. Bartek stał przed chatą, głośno rozprawiał, wysyłając na poszukiwanie koni dwóch starszych synów. Ujrawszy zbliżającego się Jeremiego, rzucił się ku niemu: „Gdzie konie, włóczęgo, łajdaku — krzychał, trzęsąc z całych sił chłopcem — gdzieś podział konie? Mów zaraz, bo zabiję.“

„Niema koni — wybełkotał Jeremi.“

Ledwie mógł dokończyć fatalnych tych słów, gdy dwie potężne pięści mignęły mu przed oczyma i

powaliły go na ziemię; buty Bartka deptały go, tłukły; silny, rozbawiony chłop, pastwił się nad wątlm dzieckiem: oczy krwią mu zaszyły, na dużych, zsiniałych ze złości wargach piana wystąpiła. U stóp jego wilo się w błocie, krwią zbroczone, ledwie głuchy jęk wydające ciało, aż uciekło zupełnie i obezwładniało pod silnemi razami; wówczas dopiero Bartek się oddalił.

Jeremi na środku drogi leżał. Ktoś z litości, czy dla porządku, podniósł go i na przyźbie chaty położył.

Słońce tymczasem coraz dalej się posuwało na niebieskiej swej drodze, mocno przypiekając i susząc zaskrzepłą krew zmieszaną z błotem na w pół nagiego ciele Jeremiego; włosy krwią sklejone przylgły mu do twarzy; tylko cichy, ledwie dosłyszalny oddech dowodził że go życie jeszcze nie opuściło.

Życie mu widać przeznaczone było, ratunek niespodziany go czekał: nad wieczorem znalazł go tu proboszcz, idąc do chorego, i zabrał do siebie.

Długo, długo nie widział Jeremi co się z nim dzieje, aż gdy mu w końcu przytomność wróciła, znajdował się w niewielkiej, schludnej izdebce, o bielonych ścianach, na białej pościeli, w czystej koszuli; nad nim pochylała się pełna szlachetnego uroku postać księdza, dłoń jego dotykała rozpalonego czoła chłopca i zdała mu się balsamem kojącym.

Dzięki troskliwej opiece, młody organizm zwyciężył chorobę; nie mało wpłynęła też, wiosna na ten przełom szczęśliwy. Dnie były jasne, pogodne, miało się już ku końcowi Kwietnia. Jeremi, choć bardzo osłabiony, wstawał i chodzić zaczynał, rozglądając się ciekawie w nowym swym otoczeniu. Tuż obok jego izdebki znajdował się największy na probostwie pokój, w którym ksiądz Stefan w wolnych chwilach przebywał; ściany były tu także bielone, przy jednej wznosiły się aż do sufitu półki z książkami, w rogu stały wazony starannie utrzymane a pod oknem fortepian Pleyel'a. Przez otwarte okno wpływało świeże, wiosenne powietrze, wszystkie jabłonie, gruszy, wiśnie okryte były gęstym kwieciem. Wróble świergotały, skacząc po strzesze, w której mieszkali swe miały, a jaskółki, we framudze okna gniazdko sobie lepiące, takie były przyswojone, że się nie a nie nie bały: ksiądz pleban godzinami całymi grywał nieraz długie, tęskne melodie, a one po pokoju latały, obok niego siadały i ptaszki wiedziały, że on nigdy nikomu nie złego nie robi, a gdzie tylko może, niesie pomoc i pociechę.

....Zbliżał się pierwszy Maja, pierwszy dzień Matki Boskiej miesiąca. Ksiądz Stefan zabrał Jeremiego do kościoła. Kościółek to był niewielki, skromny, biały, noszący w najmniejszych szczegółach głębokie piętno estetyczne, jakie mu troskliwość i gust księdza nadawały.

W ołtarzu widział obraz Najświętszej Panny, wychylający się z poza ram bzu i jaśminu, zapelniających całą świątynię silną balsamiczną wonią.

Przez cały ten miesiąc ksiądz Stefan gromadził dzieci wiejskie, przygotowywał do pierwszej spowiedzi, nauczał, tłómaczył słowa pacyera.

Dwoma rzędami klęczały dziewczynki i chłopcy, ksiądz przed obrazem Najświętszej Panny śpiewał litanie, a 60 dziecinnych głosików odpowiadało mu. Jarzące w ołtarzu świece oświecały jasno twarz młodego kapłana; na wysokim, rozumem czole i w oczach wzniesionych ku niebu malowało się głębokie skupienie ducha; całe oblicze okalał wyraz łagodności i słodyczy; myślą czystą, nieskalaną duch ku niebu się wznosił.

Miała musiała być Bogu modlitwa tego natchnionego kapłana i tych dzieci niewinnych o białych jak gołąbki duszyczkach!

Jeremi w zachwyceniu patrzył i słuchał, do głębi duszy przyjęty — a gdy ksiądz mówił miękko, głębokim głosem: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ — i bił się w piersi, to mu się tak słodko na sercu zrobiło, że wszystkich ludzi chciałby przygarnąć, uściśnąć.... Do Bartka nawet nie miał najmniejszej urazy.

Duch boży panował w swym przebytku i przemawiał do każdego co się od ziemi oderwać potrafił, co ze skrucą i przejęciem tu przybywał, —

i hardy się korzył; zboląta, skolatana dusza znajdowała tu spokój i ukojenie serdeczne. Tu było zapomnienie celów poziomych, trosk i kłopotów codziennych; tu się dusza z Bogiem jednała....

W krótkim czasie Jeremi zwrócił uwagę księdza sympatycznym, pełnym serca obejściem i niezwykłą bystrością umysłu. To, czego inni kilkanaście tygodni się uczyli, on od razu rozumiał i pamiętał; zasady religii znał doskonale, do Mszy Św. usługiwał.

Ksiądz Stefan bardzo go polubił i dużo mu czasu poświęcał, udzielając elementarnych wiadomości o najrozmaitszych naukach, które on chwycił pożądlwie i doskonale sobie przyswajał; z każdym dniem więcej się rozwijał, aż ksiądz Stefan, zdumiony rzadkimi jego zdolnościami, nie chciał im dać zmarnieć — do szkół go oddał.

Jeremi zadziwiające robił postępy, względy profesorów pozyskał, kolledzy tylko dokuczali mu, że nie chciał należeć do ich zabaw swawolnych, nieraz bezmyślnych i pospolitych. W wolnych od nauk chwilach unikał ich towarzyswa, siedział z książkami i dumami swemi. Duch swobody, duch stepów, mieszkał w tym chłopcu, niepodległy i hardy.

I szedł tak przez życie samotny, z głową wzniesioną, z myślą czystą, nieskalaną, widział tylko to, co wzniosłe, wielkie, piękne — ujemne strony życia, jego nędze i brzydoty nie istniały dlań wcale: przechodził obok nich, nie zatrzymując się, nie zwracając na nie uwagi, nie spostrzegając ich nawet.

Ukończył tak gimnazjum i do uniwersytetu się dostał.

Mieszkał na poddaszu w małej, ciasnej izdebce, przedzielonej drewnianą ścianką od drugiego takiego, samego mieszkania, zajmowanego przez Roberta, również studenta, tylko z innego fakultetu. Robert był na medycynie; z prawdziwym zamiłowaniem studiował anatomię, krajał trupy, a honorowe miejsce jego poddasza zajmował duży, ludzki skielec.

Zpowodu tak blizkiego sąsiedztwa, Jeremi często widywał młodego medyka, sympatya nie mogła się jednak między nimi rozwinąć; co do usposobienia i poglądów, stanowili zupełnie ze sobą kontrasty.

Robert miał siebie za reformatora społeczeństwa, przekonany, że rozum ludzki wszystko obalić zdoła: religia, tradycje, obyczaje, — nie się wobec niego nie ostoi. Wierzył tylko w rozum; to czego rozumem nie mógł objąć, co dotykalnie nie było widzialnem, co abstrakcyjnie się tylko odczuwa, było dla niego mrzonką, utopią: „Życie i używać“ stanowiło jego dewizę.

Jeremiego nazywał lekceważąco marzycielem i idealistą, a określenie te było w jego mniemaniu najbardziej pogardliwem.

Nadeszły znów wakacje, tak gorąco co roku oczekiwane. Jeremi jechał na wieś na probostwo, serdecznie przez księdza witany. Co roku to się powtarzało, — a tyle w tem zawsze było niewyczerpanej radości i uciechy! Tu dopiero żył całą duszą, tu oddychał swobodnie. Ksiądz Stefan, znając doskonale wszelkie jego upodobania i podziwiając je najzupełniej, najmilsze urządzał mu wakacje. Jeremi niewiele też potrzebował; gdy miał dużo zieloności, dużo powietrza i trochę okazanego serca, to mu już zupełnie dobrze było.

....Któregoś wieczora, błądząc długo po łąkach, doszedł do dużego jeziora rozciągającego się pod wsią, u brzegu znalazł łódkę, wskoczył do niej i ujął wiosła. Łódź, długa, wązka, szybko mknęła, porąc spokojną powierzchnią wody, nie zmąconą najmniejszym powiewem wiatru.

Skwar dzienny ustawał — słońce miało się ku zachodowi. Białe, lekkie chmurki, jak skrzydlate motyle płynące po niebie, zabarwiały się luną zachodu, przybierając najrozmaitsze tony złota i szkarłatu.

Z szuwarów podniosło się gwarne stado dzikich kaczek i znikło gdzieś dalej w sitowiu.

Znów cisza zapanała — godzinę szybko mijały. W wodzie odbijało się stare zameczysko, rozpościerające się na skale z przeciwległego brzegu jeziora. Wysmukłe wieżycy pięły się ku niebu,

a dwie szyby, jasno odbijające promienie księżyca, świeciły jak latarnie magiczne.

Wszystko leżało w uśpieniu, w głębokiej zadumie — i zamek, i wieżycy, i zielone brzegi jeziora....

Jeremiu stanęły w myśli słowa poety, co tak wiernie malował to, co on czuł i myślał:

„Ach noc wreszcie.... noc już przecie,
Po dniu nudy, gwaru, zdarzeń!
Taki smutek mnie już gnecie,
Tak mi tęskno już w kraj marzeń!
Gdzieś w zaświaty hen gdzieś bieży
Echo dziennej wrzawy całej.
Zstąpił ciszy anioł biały —
Ziemia moja we śnie leży,
Leży piękna, uśmiechnięta,
Cicha, jasna, wysrebrzona....“

Wśród tej ciszy, tego spokoju, rozległ się nagłe śpiew czysty, tęskny a melodyjny, rozbrzmiewający po całym jeziorze. Jeremi zostawał pod urokiem czarownej chwili, nie wiedząc: z kąd go ta pieśń tajemnicza dochodzi, aż na skale prowadzącej do zamku ujrzał postać jakąś, schodzącą ku jezioru. U stóp skały łódź jego stała. Nieznajoma, ujrawszy go, przystanąła na chwilę, nie urywając jednak pieśni i jakby bezwiednie, magnetycznym jego wzrokiem pociągnięta do łodzi weszła, a głos jej metaliczny dźwięczał dalej rzewnie, serdecznie.

Wiosła leniwie się poruszały, uderzając lśniąca w księżycu wodę, przelewającą się jak płynne srebro. Jeremi o całym świecie zapomniał, wpatrzony w nieznajomą jak w nadziemskie zjawisko, nie mogąc zrozumieć, czy to wszystko rzeczywistością jest, czy tylko uroczem złudzeniem.

A ona pieśń swą ukończyła i siedziała nieruchomie, jakby w zachwyceniu, w głębokiej zadumie; złociste jej włosy na ramiona spływały, a wielkie, czarne oczy nadmiernie błyszczały. Później mówiła, takim melodyjnym jak śpiew głosem, ale co mówiła, tegoby Jeremi nigdy powtórzyć nie potrafił, mówiła coś o nocy księżycowej, o miłości Boga, o zadaniu człowieka na ziemi. A gdy zbliżyli się do nenufarów, pod sitowiem rosnących, gdy ona pochylała się, by jeden z nich zerwać, a wysmukła jej postać zakolysała się w wodzie, — to Jeremi był tak zuchwałym, że rąbek jej szaty do ust swych podniósł, i potem gdy wyciągnęła doń rękę dając mu lilią wodną, to się jemu chciało białe jej ramionaokoło szty swej owinać i słuchać jej głosu w nieskończoność całą, jak niebieskiej muzyki — ale jej nie tknął, bo mu święta była....

Na drugi dzień znów czekał na jeziorze, ale już mu się więcej nie ukazała; pieśń jej dochodziła go tylko zdaleka, z głębi zamku. Innych wieczorów i śpiewu nie słyszał, i czekał daremnie. I dzień wyjazdu się zbliżał, a jej nie było.

Gdy probostwo opuszczał, przez księdza Stefana czule żegnany i drogą pod park wiodącą przejeżdżał, to mu się zdawało, że pomiędzy drzewami ujrzał przesuwającą się postać białą — a gdy, oddalając się coraz bardziej, jeszcze raz poza siebie się obejrzał, to ma się znów zdawało, że ze skały zamkowej biała chustka doń powiewała — ale może mu się tylko zdawało....

I wrócił znów do książek, do studyów poważnych, ale myśl i serce pozostały daleko — nad miodrem, srebrno-luskim jeziorem. A w małej izdebce na poddaszu przybył akwarellowy obrazek, przedstawiający kołyszącą się łódkę na dużej wodzie u stóp starożytnego zameczyska; widać w niej dwie postacie: jedna w cieniu, druga oświetlona jasnymi smugami księżyca, przedstawia młoda piękną dziewczynę, wychylającą się z łodzi po lilią wodną.

Jeremi miał dar chwytania podobieństwa, więc i dziewczyna na obrazku była wierną podobizną tajemniczej nieznajomej z jeziora.

Robert, zobaczywszy tę akwarellę, skrzywił się i lekceważąco machnął ręką: „Sielanki zaczyna odtywarzać, nieuleczalny idealista“ — mruczał.

Minęła jesień i zima płynęła jednostajnie, monotonicznie w życiu Jeremiego; rozmaitością był mu chyba kaszel, często go nawiedzający wraz z gorączką i silnemi wypiekami na twarzy.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia; wykłady uniwersyteckie ustały, na ulicach gwaro było,

flumno, każdy gdzieś śpieszył, każdy gdzieś dążył, uroczystość wigilijną w powietrzu się prawie odezuwało, z ukazaniem się zaś pierwszej gwiazdy na niebie, wszystkie sklepy, magazyny pozamykane a na ulicach pustki. Wszyscy gromadzili się w kółku rodzinnem, wszystkie twarze jaśniały radością. Bogaty i ubogi, książę i wyrobnik, każdy chronił się w zaciszu domowego ogniska; wszystkich jednoczyła ta wielka, wspólna, chrześcijańska uroczystość.

Jeremi tylko błakał się sam jeden po ulicach. W oknach błyszczały rzesiście oświetlone choinki; widział wesołe, uśmiechnięte buziaki dzieciaków, widział dzielących się opłatkiem przy wieczerzy wigilijnej: tam staruszka otoczona wnuczętami, tam znów młoda jakaś para rozkochana, szczęśliwa; wszędzie spokój i wesele i w pałacu wspinałym i w nędznej suterrenie.

Uroczysta ta chwila smutno i rzewnie nastrajała Jeremiego, on tylko jeden błakał się bez celu nikt nań nie czekał, nikt za nim nie tęsknił. Zatopiony w czarnych myślach, nie zwracał uwagi na chłód, co go nawskróś przenikał, w piersiach odzywało się kłócie, co mu ostatnimi czasy, często dokuczała. Późno wrócił do swego poddasza, ciemno tu było, nie palono; nie kładł się, w ubraniu, na twardym krzeselku doczekał rana. Zbudziły go dzwony wzywające do kościoła. Wstał, ogarnął się trochę i podążył do pobliskiego kościoła Bernardynek, w którym zwykle się modlił. Dziadek kościelny poznał go i, otwierając uprzejmie podwoje świątyni, odezwał się: „Dobrze, że pan tak wcześniej przychodzi, zobacz pan obłóczyny.“

Jeremi obojętnie przyjął tą wiadomość i zatrzymał się, jak zwykle, w ustronnem miejscu kościoła.

Pusto jeszcze było, powoli gromadzili się pobożni, rozmaite postacie przesuwają mu się przed oczyma. Pobożnie pienia przy akompaniamencie organów, umiętną ręką poruszanych, zapieśniały całą świątynię rzewną, podnoszącą ducha melodyą.

Jeremi przeziębiony, zmęczony, niesłychanie wrażliwy na piękno muzyki stał jak w odrętwieniu, jak przez mgłę widział białą postać w sukni, jak do ślubu, wychodzącą z bocznej kaplicy, w której zakonnice Mszy S-tej słuchały, od publiczności nie widziana.

Biała dziewczica zatrzymała się przed ołtarzem i Jeremi ujrzał czarne jej duże oczy i włosy złote, długie na ramiona spływające. Czyżby to mogła być ona? Przed oczyma coś mu zamajaczyło; patrzył i nie widział, był jakby we śnie, aż błysnęły żelazne ostrza dużych noży, zgrzyt ich słyszał wyraźnie i długie pukle jasnych włosów, jak kaskady złota opadły na ziemię. Wówczas ciemność zupełna go ogarnęła, nieznacznie usunął się na ziemię i leżał tak bez ruchu długo, bardzo długo. Kościół był pusty, światła pogaszono, zamykać go już miano, gdy dziadek kościelny potknął się o jakieś ciało na kamiennej posadzce leżące i znalazł Jeremiego nawpół zeszywniałego, nawpół martwego. Odwieziono go do domu. Nad wieczorem zaszedł Robert, przez stróżkę zawiezany do izdebki Jeremiego. Znalazł go leżącego spokojnie na wązkiem, twardym łóżku, w ręku konwulsyjnie miał zaciśnięty uschły kwiat lilii wodnej, a wzrok utkwiony w małe okienko poddasza, przez które widział kawał niebieskiego nieba.

Za Robertem postępowała stróżka. Przez otwarte drzwi do mieszkania młodego medyka wyzierał skielec ludzki, przeleknięta kobiecina przeżegnała się przesadnie: „A toć rychtyk, jakby to śmierć po swoje zaglądała—zauważyła—a co pan dochtór powie? będzie tam co z niego?—zwróciła się do Roberta.“

Robert za puls ujął Jeremiego, bacznie mu się przyglądając.

— „Nie nie będzie, zamrzeć musi, idealista!“—wydał wyrok bez apellacyi.

Stróżka wyleknioma, cofnęła się ku wyjściu.

— „Gdylista,—powtórzyła, przekreślając dosłyszany wyraz,—to pewnikiem wielga choroba być musi, kiedy z niej człowiek tak łatwo umiera...“

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie zapowiadają otwarcie w roku przyszłym nowej szkoły elektrotechnicznej w Petersburgu. Główny nacisk położonym tu będzie na wykłady praktyczne.

— W Petersburgu ma się zebrać wkrótce zjazd hodowców ptactwa w Rosyi. Donoszą ztamtąd o zatwierdzeniu przez radę państwa przepisów o ogrodnikach. Opracowało je ministeryum dóbr państwa.

— Współcześnie z zapowiedzeniem przepisów, nakładających kary na fałszerzy produktów żywności, otwarte będą w Petersburgu, oraz różnych miastach i miasteczkach laboratoria analityczne z obowiązkiem rozbiórki rozmaitych przedmiotów żywności.

— Skutek rezultatu konkursu imienia Kurjerowa wywołał między artystami protest, opatrzone podpisami 34 malarzy i rzeźbiarzy, który złożono na ręce Komitetu Tow. Sztuk Pięknych.

— Komitet budowy kościoła na ementarzu Powązkowskim zwrócił się do pracowni kamieniarskich z prośbą przyczynienia się do budowy wielkiego ołtarza tej świątyni. Odpowiedzieli na to przychylnie pp. Sikorski Jan, Gundelach, Norblin, Plecki i Nowakowski i rozdzielili między sobą wykonanie poszczególnych części ołtarza. Artysta rzeźbiarz, A. Prószyński, ofiaruje do ozdoby ołtarza dwie figury kamiennej naturalnej wielkości, wyobrażające Śś. Piotra i Pawła. Koszta wzniesienia ołtarza oznaczono na 4,000 rs. zatem znaczna jest ofiara ze strony wspomnianych kamieniarzy. Całość ołtarza będzie wykuta z kamienia sztyrlowieckiego, według rysunku architekta Dziekońskiego, w stylu renesansu włoskiego.

— Rzeźbiarz Woydyga wykończył dwie grupy, przeznaczone do kościoła S-go Aleksandra. Jedną grupą przedstawia „Imię Jezus“ drugą „Imię Marya.“

— Z wiosną rozpoczęła się restauracya starożytnego zamku w Ojcowie. Praca prowadzona będzie wedle dawnego znalezionej planu Akademii Umiejętności przez architekta Tarasiewicza. Najpierw podjęta zostanie praca koło baszty głównej, gdzie pomieszczone będą na pierwszym piętrze zbiory. Sala główna również odrestaurowana zostanie; Ojcow uzyska stałą komunikację z Olkuszem.

— Aleksander Kraushar wydał „Historiā prawdziwą o żalosnej przygodzie księcia fińskiego Jana i królowy Katarzyny w 1570 r.“ w Bibliotece pisarzy, wydanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie.

— W statucie Akademii Krakowskiej zaszyły zmiany bardzo korzystne dla rozwoju tej instytucyi, zatwierdzone przez Cesarza Franciszka Józefa. Dodano do paragrafów ustawy, iż Akademia może ustanowić nowe stałe naukowe, może powiększyć w dwójnasób liczbę korespondentów, to jest z 36 na 72. Otrzymała również Akademia sankcyę dla projektu układów z paryżkiem Tow. historyczno-

literackiem, według którego majątek i zbiory Towarzystwa przejść mają na własność Akademii a przy bibliotece Towarzystwa w Paryżu (*Quai d'Orléans*) otwartą zostanie stacya naukowa. Na podstawie tego układu Akademia zobowiązuje się a) utrzymać bibliotekę w Paryżu jako otwartą zakład użytku publicznego; b) utworzyć i utrzymać przy bibliotece stacyę naukową, której zadaniem będzie pośredniczyć między Akademią a ruchem naukowym, mającym ognisko swe w Paryżu i dostarczać pomocy osobom, przybywającym do Paryża w celach naukowych, c) używać dochodów z majątku, przejętego po Towarzystwie historyczno-literackiem wyłącznie na cele biblioteki i staeyi naukowej w Paryżu, d) dopełniać warunków konkursu, e) zdawać co rok sprawę z ruchu naukowego i czynności w dniach, w których dotąd odbywały się posiedzenia publicznego Towarzystwa. Nadzór nad stacyą wykonywać będzie miejscowy komitet, oraz delegat Akademii, która mianować będzie członków Komitetu i delegatów.

— Kommissya historyi sztuki przy Akademii Umiejętności w Krakowie odbyła posiedzenie swoje, na którym prof. Sokołowski zdawał sprawę ze stanu wydawnictw imienia hr. Konstantego Przerdzieckiego, następnie złożył projekt, opracowany z p. Lepszym, nowego wydawnictwa: *Materyały do historyi sztuki i kultury*, Dr Pankiewicz odczytał charakterystyczny przyczynek do życia Gabryela Słonce, architekta z XVI-go wieku, oraz Erazma Czeczotki, mieszczanina krakowskiego.

— Odbywały się w Krakowie *Pogadanki Pedagogiczne* urządzone co tydzień, w środy, przez koło nauczycielskie. Wstęp na owe *Pogadanki* był bezpłatny. Wygłoszono tam pogawędki „O zbytniem przeciążaniu uczniów.“ „O skargach rodziców i opiekunów na szkoły“ i tym podobne. Rozprawy były żywe i urozmaicone, ponieważ ojcowie, mający dzieci w szkołach wypowiadali spostrzeżenia swoje, na które odpowiadano, a wszystko to dążyło do poprawienia wad szkół.

— Losowanie dzieł sztuki, nabytych przez krakowskie Tow. przyjaciół Sztuk Pięknych, odbyło się w ostatnich dniach ubiegłego miesiąca w Sukienicach wśród licznie zebranej publiczności. Zakupiono ogółem 130 dzieł sztuki za sumę 10.250 złr. Liczba członków Towarzystwa była w roku ubiegłym 6.377 osób. Dochodu miało Towarzystwo 43.612 złr. Fundusz żelazny Towarzystwa przedstawia obecnie 22.829 złr. Dyrekeya stara się usilnie, aby można było przystąpić do budowy własnego domu Towarzystwa, licząc, że miasto da na ten cel bezpłatnie grunt potrzebny. Jako premium na rok bieżący przeznaczono dla członków zamiejscowych chromolitografowaną reprodukcję obrazu Fałata „Polowanie z naganką.“

— Scena czeska rozwija się bardzo pomyślnie, zasilana dziełami oryginalnemi. Podobnie i literatura coraz wyżej się podnosi. Młody poeta, Antoni Klaszterski, wydał tom poezyi pod tytułem: „Pola i lasy“ a jest to, jakoby o wielu strofach i fragmentach pieśni, malująca piękności przyrody ojczystej. Język jest bardzo malowniczy a razem pełen prostoty. Obrazy pól, łąk, lasów czeskich oddane są jakoby z uczuciem miłości syna dla matki. Krytyka czeska bardzo wiele sobie rokuje z tego młodego talentu, który obok siły uczucia rozporządza świetnym kolorytem.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 3 i 4 powieści pod tytułem **Na nowym łądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez Quisa.—Idea w wychowaniu.—Przybądź! przez Tadeusza Teobalda Woycieckiego (wiersz).—Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg).—Do Redakcyi.—Kronika działalności kobiecej.—Jeremi, nowella (dokończenie).—Z bieżącej chwili.—Ogłoszenia.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3 i 4 powieści pod tytułem **Na nowym łądzie** przez Perfalla. Przekład niemieckiego. Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr. 66.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 26 Марта 1892 г.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

PRZEGLĄD MÓD.

Co pan Makowski przywiózł z Paryża? — Jak się w Paryżu ubiera-
ją? — Suknie i okrycia gotowe w magazynie pani Anny, róg Marszał-
kowskiej i Próznej. — Kapelusze ze słomy w Głogowcu. — Nowa
massa do wyrobu różnych ozdób. — Koperty i papier modny.

Nie nowego nie wymyśliła moda na sezon wiosenny, zawsze cienie niepewne, bez życia, niby wypłowiałe, któ-
rym nawet powietrze morskie co tak zjada kolory, nie
już nie zaszkodzi. Z połączenia popielatego, „beige,”
niebieskiego, mięszanego z różowym, koloru kukurydzy
i mehu, tworzą się takie cienie, iż trzeba się namyślić,
aby zdecydować prawdziwą barwę wybranego materya-
łu. Zdaje się, jakby mgła podnosząca się w powietrzu,
spadła na tegoroczne materyały.

Z przywiezionych przez pana Makowskiego nowości,
najnowsze są w paski „à la Watteau,” już coś podobnego
było na wiosnę, jest to materyał dość lekki wełniany, ni-
by przemarszczony w odstępie jednego centimetra, ory-
ginalne te wyroby są w różnych barwach zawsze mglist-
ych jak wyżej powiedziałam. Z grubszych, są niby mie-
niące w prążki, idące ukośnie, zwane „églatine,” ale
koloru mieniącego się oznaczyć trudno, jest to jedwab
w połączeniu z wełną, przez co barwa świeci, jakby mie-
niący jedwab, bardzo piękny i strojny kostium wizytowy
z paskiem dżetowym w rznięte sznurki dżetowe, których

śliczne modele pokazywano nam
robią z tego materyału. Dalej jest
także wiosenny grubszy materyał,
zwany „côte de cheval,” bo ja-
kichże nazw francuzi nie wymy-
śli, materyał w grube prążki, zna-
ny, już i na jesieni używany na
paletociki i okrycia, ale grubszy
o wiele i dziś na peleryny i pele-
ryny najwłaściwszy, nie pomi-
ając sukienka, które to ostatnie
musi być na podszewce. Ten sam
materyał na suknie jest lżejszy
i jasny np. w dwóch kolorach ja-
snych: niebieskim i różowym, ale
nie przypuszczajcie panie, że to
rzeczywiście niebieski i różowy,
zgadnąć tego nie podobna — za-
wiązkiem są te dwa cienie, ale to
tylko moje przypuszczenie. Obok
tych nowości są śliczne, dystyn-
gowane i zawsze modne angiels-
kie „knicker-bokery,” materyał
jakby tarantowaty w różne kropki
i supelki kolorowe, zlewające się
w jeden „ton,” nazwa techniczna,
przyjęta w mowie o materyałach
a nawet w ogóle o tuietach mod-
nych. Pan Makowski nie zada-
wał się sprowadzaniem dla nas
materyałów na suknie, okrycia i t.p.
po za nieprzebraną ilością sztuk
do wyboru dla każdej kieszeni
i każdego gustu, pokazywano nam
parasolki fantazyjne i klasyczne.
Klasyczne zwiemy tak zwane
„en tout cas” o poważnej ręczce,
pokryte ciemnym jedwabiem, —
fantazyjne zaś o ręczce z konce-
ptem nieznanym, oszyte falbaną
lub z wrabianym szlakiem, jak je
dziś moda mieć chce. Dotąd cały
Paryż na rauty i wieczorne przy-
jęcia ubiera się w ciemne kolory,
w których czarny, zarzucony dość
długo, szczególnie w atłasie przo-
duje. Widzieliśmy w tych dniach
w magazynie pani Anny, róg Mar-
szalkowskiej i Próznej, suknie
czarną atłasową, przygotowaną na
jeden z niezliczonych rautów, ja-
kie miały miejsce w ostatnich cza-
sach. Naturalnie obcisła zupełnie
podszyta była atłasem jasno-wi-
śniowym, w dół z dużą sutą riu-
szą, wycinaną w duże i drobne
zabki. Stanik marszczony z przodu,
snurowany w tyle, wycięty
w kwadrat, tak z przodu jak z ty-
łu przybrany był wolantem białym
koronkowym w kształcie berty su-
to nadmarszczonej na ramionach.
Stanik ujęty w szeroką szarfę wi-
śniową atłasową spinała duża ko-
karda w formie motyla z szeroką
klamrą, sięgającą do gorsu. Ca-
łość była prześliczna. W tymże



Nr 1. Tylna część paltocika do ryc. Nr 6.



Nr 2. Tylna część mantylki do ryc. Nr 9.



Nr 3. Płaszcz z czarnej koronki, podszyty materyałem jedwabnym koloru zielonego.

Nr 4. Suknia krojem „princesse.”



Nr 5. Płaszcz od kurzu z bezu
(do ryc. Nr 17). Krój pierw. str. tabl.
Nr III, fig. 12—19.

Nr 6. Paltocik z aksamitu ozdobiony
koronką (do ryc. Nr 1).

Nr 7. Pelerynka z materiału jedwab-
nego mieniącego, ozdobiona koronką
gipiurową.

Nr 8. Paltot z materiału jedwabnego
ozdobiony haftem (do ryc. Nr 12). Krój
odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 40—44.

Nr 9. Mantylka z materiału
niego „armure“ (do ryc. Nr 1).
pierw. str. tabl. Nr II, fig. 1.

Nr 10. Paltocik z sukna ozdobiony
koronką.

Nr 11. Płaszcz z odpasowanej
chustki. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX,
fig. 54 i 55).

Nr 12. Paltot z materiału jedwab-
nego ozdobiony haftem (do ryc. Nr 7).
Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 40—44.

Nr 13. Paltocik dla młodej
osoby.

Nr 14. Mantylka z „surah“ i koronki
gipiurowej (do ryc. Nr 16).
Nr 15. Płaszcz dla dziecka od 2—4 lat.

M O D Y P R Y Z K I E.

(Tablica kroju dołączona do numeru 10. Bluszcz objaśnia powyższe wzory).

magazynie widzieliśmy kilka ślicznych wiosennych okryć, w które zawsze ten magazyn gotowych rzeczy jest zaopatrzony. Między innemi zwróciło naszą uwagę okrycie, czyli tak zwana krótka, bo tylko kolan sięgająca peleryna z grubej wełny koloru „cocher“ piaskowy „à double face“ tak jakoś zręcznie ścięte na plecach, iż tworząca się fałda od pachy zakładała się wewnątrz, robiąc pelerynę tak zręczną, iż nawet otyła osoba w niej szczupło wyglądała. Kołnierz wysoki nieco fałdowany „à la Médicis“ z aksamitu koloru „bordeau“ i takiemiż wstążkami do wiązania dopełniał tego zręcznego okrycia. Oprócz wielu innych, w których fałda „Vatteau“ dominuje, jak to widzimy głównie w szlafroczkach rannych a nawet i sukniach, przybranych od samych pleców karkardą z końcami sięgającymi ziemi, naśladując fałdę „Vatteau“ spotkaliśmy zawsze modne angielskie kaftaniki, z grubego angielskiego materiału, zwanego „knicker-bocker“ o krytem spięciu z dużymi kieszeniami, całość czysto angielska, bez ozdób żadnych, głównie w popielatym kolorze. Śliczne było oryginalne okrycie ciemno-stalowe, szerokim plisowanym pasem przepięte w tyle, z dwóch stron niby rękawy pokryte aż do dołu czarną koronką. Był jeszcze długi jasno-piaskowy płaszcz z lekkiej wełny, z pelerynką do pasa, cyrklowaną okrągło jak dawne liberyjne peleryny, suto rzucające się na plecach. Cały płaszcz wraz z peleryną na jedwabiu spinały małe guziczki piaskowe aż do dołu.

Zanim po świętach napiszę o kapeluszach modnych, przywiezionych przez nasze modystki, muszę dziś wspomnieć, że w Głogowcu, niedaleko Kutna, pani Zakrzewska, pragnąc dać zajęcie biednej klasie ludności, założyła u siebie fabrykę kapeluszy słomianych z prostej nie plecionej słomy, podobnych do znanych w całej Galicyi. Fasony są rozmaite, podług mnie więcej dogodne dla panów, niżeli dla nas, bo kobiety muszą przystroić kapelusz do noszenia, i tu właśnie trudność zachodzi jak je ubrać. W każdym razie na letnie mieszkania jako ogrodowe są bardzo na miejscu. Powinny jednak w takim razie być bardzo tanie, a cena ich na tuziny jest od 5 do 7 rubli tuzin, gdzież zarobek dla magazynu? Wiadomość tę podajemy głównie dla małomiasteczkowych magazynów, które podobne kapelusze łatwiej zużytkować będą mogły. Adres: przez Kutno w Głogowie. Drugą wiadomość z działu pracy zarobkowej kobiecej mam do zanotowania, iż pani W., wdowa po artyście, wyrabia z masy wynalezionej przez siebie kwiaty, które powleka farbą olejną właściwego kwiatu barwy i zdobi niemi ramki do fotografii, patarałki pod lampy i tym podobnie. W Muzeum artystycznym na Nowym-Swiecie znajduje się ekran ozdobiony takimi kwiatami, tam więc ciekawych odsyłamy, życząc z serca pani W. najlepszych korzyści z nowej swej pracy. Jak wiemy, moda ma wszędzie zastosowanie, otóż z potrzeby zwiedzieliśmy znowu fabrykę papieru listowego pana Schustra na Sewerynowie, i przyznać muszę, że zdmiała na widok nieprzeliczonych rodzajów papieru listowego, od najtańszego do ślicznego, indyjskim zwanego, a bardziej jeszcze tysiąca rodzajów winetek i form. O dawnych naszych kopertach i mowy nie ma, co za nowy krój tych kieszonek papierowych, jeden sprytniejszy od drugiego, to też stanowczo nie potrzebujemy i nie sprowadzamy żadnych, tak zwanych „papeterie“ ani z Paryża, ani z Wiednia, bo nasza fabryka jest w stanie zaspokoić najbardziej nawet wymagania.

L. C.

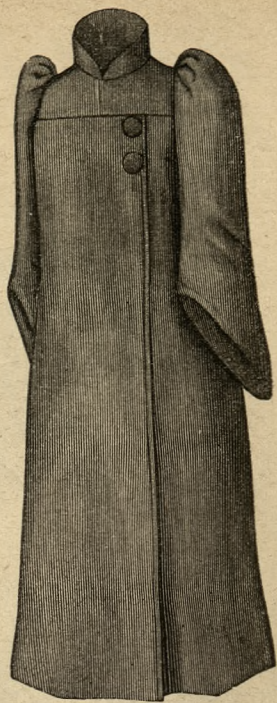
Opis rycin: 3 — 20 w przyszłym numerze *Bluszczu*.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze 12 i 13 „*Bluszczu*“ służy też do N-ru dzisiejszego.



Nr 16. Tylna część mantylki Nr 14.



Nr 17. Tylna część płaszczyka Nr 5.



Nr 18 — 20. Kapelusze wiosenne i letnie.

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

P. Karpiński jako dostarczyciel prowiantów spożywczych do mieszkania. — Konserwy u pani Greibner, 15 Chmielna. — Króliki, jako mięso tanie a pożywne, zastępujące każde inne dla biedniejszej ludności w obec obawy głodu. — Pastylki do zaprawiania wódek i likierów. — Nowy rodzaj baby z kremem na podanie obiadowe, zamiast leguminy, w cukierni Lours'a.

Zaczynam dzisiejszą moją pogawędkę od bardzo ważnej wiadomości dla gospodyń. Pan Stanisław Karpiński, pod N-rem 19 ulica Włodzimierska, telefonu Nr 681, otworzył u siebie sprzedaż artykułów spożywczych i innych, w celu dostarczania takowych do domu stale. Celem pana Karpińskiego, oprócz naturalnie własnego zysku, pomimo, iż wszelkie produkty sprzedaje po cenach sklepowych i składowych, jest głównie uwolnienie nas od nadużyć służby i dania pewności, iż w oznaczonym terminie będziemy zaopatrzeni we wszystko. I tak, pan Karpiński dostarcza węgle w kosztach półkorcowych opieczonych, co jest bardzo wygodne przy ograniczonej służbie, po zwykłej cenie 45 kop. za pół korca, pani może ustanowić normę ile się powinno wypalić, chociaż w obec długo trwającej zimy nie bardzo się to udawało; ale co za wygoda, że się gniewać nie potrzeba, że węgle z piwnicy nie przyniesione a tu palić trzeba, i zresztą kontrola jest zupełna, pomimo, iż mi się w tej chwili pod pióro nasuwa myśl: „przed domowym złodziejem nikt się nie upilnuje.“ Dalej p. Karpiński dostarcza pieczywo, mleko, masło, śmietanę, herbatę różnych firm, ocet zbożowy, makarony i sorbety, naturalnie że Krzymuskiego, szuwaks i t. p. Czy przedsiębiorstwo pana Karpińskiego żyje się z Warszawy, nie wiem, bo przyzwyczajenie jest więcej jak drugą naturą, zawsze jednak należy przyklasnąć dobrej woli i pożytecznej inicjatywie pana Karpińskiego.

Dzisiaj, kiedy już w wielu spiżarniach zapasy konserw wyczerpały się, przypominam, iż u pani Greibner, Chmielna 15, zawsze są śliczne kompoty, produkowane przez wiejskie gospodie, z naszych wisien, malin, śliwek, po bajecznie taniej cenie, bo duża kompotyera od 75 kop. i wyżej. W składach tutejszych spotkałam konserwy w cukrze z moreli, brzoskwiń, rengłodów, gruszek i t. p., jeżeli nie piękniejsze, to niezawodnie równie piękne jak francuskie a znacznie tańsze, owoce te pochodzą z Krymu, z Symferopola.

W pokorze ducha wyznać muszę, że chociaż w smaku o ile mi się zdaje nie są tak dobre jak moje, wyglądu i takiej równości w okazach owocu nigdy moje nie mają. Jak u nas jeszcze jest przemysł w tym kierunku zacofany dowodzi, iż w północnej części Cesarstwa, bo w samym Petersburgu, są ananasarnie, które całą zimę dla miasta to jest dla cukierników i pierwszorzędnych zakładów dostarczają świeżych ananasów. Wiadomość ta może zwrócić uwagę naszego towarzystwa ogrodniczego na zaprowadzenie czegoś podobnego u nas, chociaż po praw-

dzie mówiąc, my za biedni na to, gdzie nam myśleć o ananasach, kiedy nas często na dobre gruszki nie stać.

W Krakowie, z powodu drożyzny mięsa, podniesiono mało dotąd używane a bardzo łatwe do rozplodnienia króliki i tych zaczęto używać na pożywienie biedniejszej klasy ludności, w drugorzędnych jadłodajniach i t. p. W „Kołodzie“ mojej na rok 1889 i 1890 zamieściłam obszerny artykuł o królikach jadalnych, o łatwości chowania i o sposobach przyrządzania z nich smacznych potraw. Chów królików nie przedstawia żadnych trudności, gdyż za pożywienie służy im prawie wszystko, co mamy pod ręką, obierki z kartofli i innych jarzyn, karmią się chwastami, zielskiem polnym i ogrodowym, gałązkami drzew, szyszkami i żółędziami, siano drobno rżnięte i t. p., a rozmnażanie postępuje tak szybkim krokiem, że nie podobnego w naturze żadnych jadalnych miejsca nie ma. I tak: Leporyd i królik rasowy waży od 12—18 funtów, jedna taka para w przecięciu w ciągu roku daje do 80 młodych, młode zaś w ciągu pięciu miesięcy zdolne są do rozplodu. Mięso chociaż mdławie, daje wyborny, delikatny jak z drobiu rosół, przewyborną czarninę; można go przyrządzać jak drób, robiąc kotlety lub potrawki, jeśli ma mieć smak zwierzyny, wtedy należy żywe karmić jałowcem, bylicą, estragonem i t. p. a następnie przyrządzać z octem i śmietaną, to jest piec jak zająca. Mięso jest białawe, więcej do drobiu podobne i choć smakiem nie dorównywa innym zwierzętom, jednak dla ludu byłoby rozpowszechnienie tej hodowli bardzo pożądane.

W „Kołodzie“ na rok 1890 podałam przepisy przygotowania różnych potraw z królików, tam więc odsyłam interesowanych.

Z nowości, wchodzących w zakres kulinarny czyli raczej przysmaków, mam do zanotowania dwie: jedną są pastylki, które potłuczone na proszek służą do zaprawiania wszelkich wódek i likierów w rozmaitych gatunkach, nie ma tam jednak żadnych delikatnych, jak: kawa, wanilia, maraskino, maliny i t. p., chociaż jest ich bardzo wiele gatunków, ale po większej części te, które się na korzenie nalewają, każdy flakonik z essencją jest zaopatrzony przepisem jak go użyć, wszystkie zaprawiają się jednakowo. Otóż, pomimo iż przyznaję, iż niektóre, jak: „Chartreuse“, „Quirasso“ i wszelkie korzenne są wcale nie złe, nie należy je jednak urządzać jak jest w przepisie, ale essencję rozpuścić w dobranej wodce, dalej postępując jak jest wskazane w moich przepisach do wszystkich likierów, to jest robić syrop, i tylko essencję rozpuszczoną używać jak zwykle, co ułatwia wykonanie likieru. Do tego stopnia to jest doświadczeniem wypróbowane, że robiąc podług dodanego przepisu jest likier lichy, a biorąc tą samą essencję i postępując podług instrukcji w „Jedynych praktycznych przepisach“ likier będzie dobry*). Dwie moje znajome przysłały mi jako kompetentnej swe próby; obie robiły podług

*) Zawsze jednak nie dorównywa robionemu z właściwej essencji.

odmiennych sposobów, oba też likiery były odmienne. Dodany przepis jest w dwóch językach: po russku i po niemiecku, a fabryka tej patentowanej innowacji likierowej i wódeczanej otworzona została w Petersburgu, sprzedają zaś trudni się pan Karpiński, jak wyżej, Włodzimierska 19. Drugą nowością, służącą za elegancką leguminę, jest wyrabiana w cukierni Lours'a babka polana czekolada, ubrana kremem, a wewnątrz formy puste w środku wypełnia krem czekoladowy z kaszanami, babki takie mieć można już od rubla na 8 do 10 osób wystarczające. Już to cukiernia Lours'a zawsze jest pełna nowości, tak co do ciast jak i co do cukierków.

Zawsze powtarzamy, że tylko praca i praca prowadzi do czegoś, nowym tego dowodem jest zakład cukierniczy pana Fruzińskiego, otwarty bardzo skromnie przed dwoma laty, dziś rozszerzony, na sposób paryżki urządzonej z komfortem, sprzedaje same tylko cukierki i inne w zakres ten wchodzące przedmioty. Towar jest tak dobry a cena tak przystępna—pół rubla za funt najwykwintniejszy, że się żadnej konkurencji nie obawia. Mieści się przy ulicy Marszałkowskiej Nr 133. L. C.

Przyczynek do przypomnień z gospodarstwa drobiowego.

We dwa tygodnie po sadzeniu indyczek jaja spławić, spłyną złe, a indyczki utrzymywać ciepło i cicho, gniazdo robić z gałązek suszonych lub słomy i siana, raz na 24 godzin spędzać ich do jedzenia, przez ten czas przykryć jaja sukrem lub płótnem ciepłym i oczyścić przedko gniazdo. Ostatnie dwa dni indyczka siedzi ciągle bez przerwy, więc trzeba dać jeść na jajach. Gdy się wylęgła indyczka, nóżki moczyć w wodce i dać trzy ziarenka pieprzu w dziobek kładąc je przez dwa dni; podkurzyć na przetaku skorniami z jaj własnymi i we dwa dni dawać jaja twarde na płótnie lub desce, byle nie na wilgotnym miejscu.

To samo stosuje się do gęsi, tylko nie trzeba strzedz ich od wilgoci, wylęgłe włożyć w garnek z pierzem, a dalej postępować jak z indyczkami. L. C.

Jak się zachować przeciw szkodliwości wyrastających kartofli.

Początkowe ciepło marcowe i kwietniowe nader silnie wpływa na wyrastanie kartofli w piwnicach. Przecięż rozwijająca się wtedy roślinna trucizna zwana „solaniną“ jest w wysokim stopniu szkodliwa zdrowiu, nie tylko ludzkiemu, ale nawet zwierzętom. Solanina jest alkalją roślinną, która jako połączenie rozmaitych części, jest w roślinach i owocach w bardzo małej ilości zawsze zawartą. W większym stosunku wytwarza się w niektórych

gatunkach, szczególnie w bardzo wczesnych i jest wtedy silnie działającą trucizną.

W pewnych warunkach i pod wpływem niektórych anormalnych objawów powietrznych, występuje w niektórych płodach ziemi w większym stosunku, a następnie w tym samym stosunku działa mniej lub więcej szkodliwie, a nawet trująco. Na takie wyniki najczęściej zwracać należy uwagę, szczególnie przy kartoflach, które niedojrzałe, lub w złych warunkach dojrzewając w mokry rok, leżały na ziemi w nieprzepuszczającej powietrza piwnicy i tam wyrosły. Najnowsze spostrzeżenia dowiodły, że wytwarzanie się solaniny w różnych gatunkach kartofli jest rozmaite.

Złe gatunki kartofli spożyte w większej ilości spowodują choleryę. Wiadomo zresztą, że młode, niedojrzałe kartofle, wywołują zawsze podobne skutki, ale nie wszystkim jest wiadoma bezpośrednia przyczyna zawartości w nich solaniny.

Byłoby godnem uwagi ludzi fachowych, o ile w latach grasującej cholery, wpływy powietrza na kartofle, jarzyny, owoce, rozwijając w nich roślinną solaninę, wpływają na rozszerzenie, jeżeli już nie na wytworzenie się samej choroby, przez zatrucie krwi.

W interesie higieny czyli zdrowia, co jedno znaczy, bo higiena utrzymuje zdrowie, trzeba zwrócić uwagę szczególnie na wsi, gdzie najczęściej jadają kartofli, aby zabroniono zupełnie używania silnie wyrosłych, lub za młodych kartofli. W marcowym numerze pogawędki naszej podaliśmy pewny sposób zachowania się w obec wyrastających w piwnicy kartofli, do tego więc numeru odsyłamy interesowane czytelniczki nasze.

L. C.

Wytepienie mszyc na drzewach szpalerowych i krzakach róży.

Robactwo to powoduje wielkie szkody a zwłaszcza drzewom morelowym i brzoskwińowym. Dla zabezpieczenia od tej drobnej kleski, należy w początku kwietnia przyrządzić dość gęstą papkę z wapna i za pomocą pędzelka obsmarować cały krzew. Można być pewnym, że ten prosty środek, bynajmniej nie szkodzący rozwijaniu się krzewu w zupełności dopnie celu. Róże wysokopienne zabezpieczają się tym samym sposobem od tego robactwa, które pozostawia swoje jaja pomiędzy gałęziami, niszczy liście i kwiaty w zawiązku.

N. B.

Pranie siatkowych gipiurów franek lub koronek gipiurów.

(na żądanie).

Żadne franki nie powinny być nigdy mydlone lecz prane w rozgotowanym mydle. Po zdjęciu z okien franki powinny być doskonale wykurzone, następnie rozpuścić 2 łuty boraksu sproszkowanego w garnku gotującej się wody, zanurzyć w wolnym roztworze brudne franki lub koronki, sfstrygowane bawełną w płaskie pokłady łokieć długości, a lepiej, jeżeli są obszyte w stary muślin, potrzymać w nim 20 minut i wycisnąć delikatnie. Mieć przygotowane na balii mydło barskie na rzadko rozgotowane, sprać w nim franki, nie trąc wcale, ale tylko wycierając z boraksu spłukać w zimnej wodzie kilka razy i nie wykręcając, tylko trzymając prostopadle, wycisnąć z wody. Ponieważ moda mieć chce, aby tak franki jak koronki były żółtawe, koronkom więc nadaje się kolor „écru“ szary, lekką czarną kawą, do której wlać łyżkę żelatyny rozpuszczonej w ciepłej wodzie. Franki zaś kolorują się szafranem, lub tak zwaną glinką, farbą żółtą, używaną do malowania ścian, co jest wiele oszczędniejsze od szafranu. Jedna ósma część łyta szafranu wystarcza na lekkie zakolorowanie franek z 6-ciu a nawet 8-miu okien. Należy szafran spa-

żyć obficie na misce gorącą wodą, następnie, gdy już franki uprane i wypłukane, dolać go do przygotowanego rzadkiego, ryżowego krochmalu, lub lekkiej żelatyny, wymieszać dobrze, włożyć wszystkie od razu, aby jednakowego koloru nabrały, a następnie każdą oddzielnie przepłukiwać i wyciskać. Po zakolorowaniu rozpruć, wyciągając równo, rozwiesić w przewiewnym miejscu, starając się aby równo schły. Następnie zmaglować złożone jak najstaranniej, aby składów nierównych nie było, a po zmaglowaniu przeciągnąć rękoma dla równości i wyprasować.

Koronki zaś szare gipiurów, rozciągnąć na stole na podłożnem płótnie, zabki poprzypinać szpilkami, a gdy na pół przeschną, żelazkiem przez płótno przeprasować.

L. C.

Szczotki do froterowania.

Przy zaprawianiu podłogi woskiem i terpentyną (przyjęty dziś powszechnie sposób) bardzo prędko szczotki od froterowania zabrudzają się tak, iż dalsze froterowanie staje się niemożliwym. Otóż na parę szczotek wziąć pół funta potażu, nalać go na misce pół kwarta gorącej wody, w której się zaraz potaż rozpuści; umoczyć samą szczecinę obu szczotek w tym roztworze i trzeć jedną o drugą silnie, aby się wosk i brud rozpuszczał. Gdy zmieknie, drzewienkiem cienko zastruganem przeciągać pomiędzy szczecina, aby brud i wosk zebrać. Po oczyszczeniu tym sposobem, dokładnie wysuszyć w ciepłym miejscu i dopiero używać.

L. C.

Kluski francuskie z powidłami ze śmietaną.

Zrobić kluski francuskie jak najpulejniejsze, biorąc na każdą osobę jedno jajko, albo robiąc je z pianą, albo bez piany, z pianą naturalnie sypiąc mąkę po włożeniu piany. Najmniej jednak ambarasu robią bez piany, bo je można zrobić na parę godzin pierwej; sposób jest następujący: łyżkę masła młodego nie czubatą lub klarowanego, rozbić dobrze, dodając po jednym 2 żółtka, gdy zacznie gęstnieć, wbić jedno całe jajko i znowu wiereć, gdy znać że gęstnieje, wsypać po trochu a ciągle, jakby pudrując, czubatą łyżkę najładniejszej przesianej mąki pszennej i wiereć aż się równa gęsta masa zrobi, uważać jednak, aby nie za długo wiereć, bo się dzielić będzie jakby zważona. Ugotować te kluski, kładąc łyżkę blaszaną lub srebrną w obszernym rondlu na dużej wodzie. Oddzielnie na 3 osoby wziąć pełną łyżkę dobrych powideł, przetrzeć przez sito, wsypać cukru i włożyć jedną łyżkę śmietany, rozetrzeć tak, aby powidła były zupełnie utarte, dosypać trochę tłuczonego i przesianego cynamonu, jeżeli kto lubi, gdy to doskonale utarte włożyć jeszcze dwie łyżki gęstej dobrej kwaśnej śmietany i już tylko lekko wymieszać z powidłami. Kluski gorące na wygrzanej salaterkę położyć i polać powidłami ze śmietaną; zamiast klusek można zrobić naleśniki i prosto z patelni je podać bez przysmażenia, złożone tylko w chusteczkę i na klarowanym maśle smażyć. Wyborne danie—uważać je można albo za jarzynę, albo za leguminę.

L. C.

Ryba w galarecie.

Łatwa to niby rzecz a jednak rzadko, gdzie dobrze ją podają. Tylko ze szczupaka bywa dobra galareta, a zatem i zupa—ta ostatnia jednak z karasków i z lina jest dobra.

Szczupak musi być żywy a nie śnięty, od tego dobroć galarety zależy. Po zabiciu i pokrajanu

na dzwona nasolić na kilka godzin solą prażoną tymczasem nastawić garnek gliniany włoszczyzny, najwięcej pietruszki, trochę marchwi, cebuli i kilka ziarenek pieprzu, nalać dużą ilością wody, bo się wygotuje. Kiedy już smak przybiera kolor rosółu, najprzód włożyć w rondel głowę, nalać precedzonym smakiem z jarzyn, aby się wygotowała; po pół godzinie dolożyć resztę ryby, a dla osolenia dodać trochę sosu, który się pod rybą z soli uformował, uważać, żeby się ryba nie przypaliła, i jak tylko ugotowana wyjąć na duży półmisek do ostudzenia, a smak szumując, gotować dalej na wolnym ogniu. Kiedy już próbując na łyżce zaczyna być lepki, wpuszczać dla sklarowania rozbite z wodą białko, chwilę z białkiem pogotować i znowu sklarować. Rybę, która już ochłodziła, wyjąwszy z każdego dzwona ość grzbietową i zdjąwszy ile się da skórę, ułożyć w formę, smak precedzić przez gęste sito, a potem powoli lejąc przez serwetę, napełnić nim formę z rybą, niczem nie ubierać, bo wszystko smak galarety psuje. Ryba taka polega głównie na bardzo starannem przypilnowaniu i cedeniu.

L. C.

Sos tatarski.

Przyznaję się zawsze do winy; otóż ktoś mi się żalił, że sos tatarski w mojej książce jest wadliwy. Zajrzałam i przekonałam się, że był lepszy w dawnych edycjach, dla tego dziś podaję wyborny przepis jednego z pierwszych kucharzy a przezemnie wypróbowany. Jedno surowe żółtko, łyżeczkę pełną dobrej francuskiej musztardy i trochę soli rozetrzeć na misce. Z dziesięciu jaj na twardo ugotowanych przetrzeć przez rzadkie sito same żółtka, wsypać do roztartej musztardy, i lejąc po małej łyżeczce od herbaty oliwę pótę, póki cały funt nie wyjdzie, ciągle łyżką kręcić aż zgęstnieje, wtedy wcisnąć całą cytrynę lub wlać dwie łyżki bardzo mocnego octu estragonowego. Posiekać drobnutko dziesięć średnich korniszonów i tyleż grzybków marynowanych wrzucić, wymieszać a sos gotów. Zamiast korniszonów i grzybów można posiekać kaparów i szczypioru. Sos takim sposobem robiony jest gęsty, mocny, prawdziwie tatarski.

L. C.

Mazurki cieniutkie kruche.

Trzy ćwierci funta masła uwiereć na śmietanę, dodać do tego trzy ćwierci funta cukru, cztery żółtka i od 2 jaj białka na pianę, to wszystko razem zmieszać z funtem mąki i trochę zapachu, jaki kto lubi. Powinno się wiereć przez całą godzinę, aż póki od donicy ciasto odstawać będzie; postawić go w zimnym miejscu a gdy zeszywnieje zupełnie, na białych arkuszach papieru rękę maczając co chwila w mące, rozgniatać tak cienko, aby papier przegładał. Posmarować rozbitem jajkiem, posypać drobno siekanymi migdałami z cukrem, kłaść na blachę, a jak się trochę podrumienia, wyrzucać na poduszkę nakrytą serwetą, oddzielać papier na gorąco i pozostawić do zastygnięcia, — papier pierwszy raz posmarować masłem, to lepiej odejdzie i przyda się do następnych mazurków.

L. C.

Obiad postny.

1. Zupa powidłowa z francuskimi kluskami.
2. Szczupak w galarecie.
3. Szpinak w omlecie francuskim.
4. Lina smarzony z kapustą.
5. Krem pomarańczowy na słodkiej śmietanie.